

Oceania i Indonezja 2007

Zastanawialiśmy się jak nazwać naszą wyprawę. Dobrymi nazwami mogą być "**80 dni dookoła świata**" lub "**W poszukiwaniu najdroższego kraju na świecie**". Tym razem to była nasza podróż poślubna, więc zaszaleliśmy i pojechaliśmy na wyspy południowego Pacyfiku (**Fiji, Polinezja Francuska, Wyspy Cooka, Nowa Kaledonia, Vanuatu**) korzystając z bardzo ciekawego biletu dookoła świata. Przy okazji zwiedziliśmy Londyn, Auckland, Sydney, Penang, Melakę i samochodem Kalifornię. Drugi miesiąc naszej podróży spędziliśmy w **Indonezji**, żeby zaoszczędzić trochę pieniędzy. Podróżowaliśmy tak jak zwykle, z plecakami, starając się nie wydawać niepotrzebnie pieniędzy.

Poniżej znajduje się relacja z naszej (Magdy i Przemka) podróży poślubnej. Jeżeli ktoś jest zainteresowany zdjęciami z tej wyprawy to zapraszam na <http://plecakowicz.pl/foto>. Życzymy miłego czytania. Będziemy wdzięczni za wszystkie uwagi przesłane na e-mail: plecakowicz@gmail.com.

Krótkie spostrzeżenia z wyprawy

W **Londynie** byliśmy tylko przejazdem. Przywitała nas słynna angielska pogoda, bo codziennie padał lekki deszcz. Londyn to bardzo międzynarodowe miasto, na ulicy można spotkać ludzi z całego świata, różnych wyznań i narodowości. Zdziwiła nas duża ilość zieleni, szczególnie parków, w których londyńczycy uprawiają jogging.

Bezproblemowo USA można zwiedzać tylko samochodem. W **Kalifornii** drogi są dobre, proste, przydatny staje się tempomat. Podróżowanie samochodem jest bardzo łatwe i przyjemne. Po drodze widzieliśmy znaki drogowe „zakaz śmiecenia pod karą 500\$”. Śmieci nie było, więc pewnie kara bywa egzekwowana. Tak to się robi w Stanach.

Zwiedzaliśmy głównie parki narodowe i mamy wrażenie, że po ulicach chodzą grubszy ludzie, niż Ci spotkani w parkach narodowych. Widać, że zdrowy styl życia można także prowadzić w USA. Pewnego dnia byliśmy w amerykańskiej restauracji (Danny's), która zaserwowała nam tak tłuste jedzenie, że McDonald jest przy tym zdrową żywnością.

Fiji zaskoczyło nas negatywnie i pozytywnie. Negatywnie, ponieważ spodziewaliśmy się pięknych plaż a mieliśmy wrażenie, że ładniejsze plaże są np. w Tajlandii, gdzie jest dużo łatwiej się dostać. Poza tym woda w morzu była zbyt chłodna na długie kąpiele. Pozytywnie zaskoczył nas klimat: prawie bezludne wyspy Yasawa, na których nie ma samochodów i sklepów, jedni z najbardziej miłych („bula Fiji”) i uśmiechniętych ludzi na świecie, stosunkowo mała ilość turystów.

Na **Polinezji Francuskiej** można poczuć się trochę jak we Francji np. specjalna kolejka dla obywateli Unii Europejskiej, większość towarów sprowadzana z Francji. Różnice widać jak się pojedzie na wyspy jak Bora-Bora czy Maupiti. Wyspy są tu bardziej zurbanizowane niż Fiji (np. na wyspach są drogi asfaltowe i samochody). Jednak widoki z samolotu, plaże, laguny, małe wysepki (motu) wg naszego zdania nie mają sobie równych na Pacyfiku. Kiedyś chcemy tam wrócić, żeby odwiedzić inne, mniej znane wysepki.

Wyspy Cooka są chyba jednymi z najrzadziej odwiedzanych miejsc na świecie. Może to z tego powodu, że jest tam bardzo drogo. Na przykład woda mineralna sprowadzana jest z Nowej Zelandii i kosztuje 6 zł/1,5 litra i jest w cenie Coca-Coli. Większość turystów przyjeżdża z Nowej Zelandii, której terytorium zależnym są Wyspy Cooka. Mieszka tam bardzo mało ludzi, przez co numery rejestracyjne pojazdów oraz numery telefoniczne są śmiesznie krótkie. Z drugiej strony miłe jest to, że czas biegnie tam bardzo spokojnie, nikt się nigdzie nie spieszy. Co nas zdziwiło, to że zmarli chowani są w grobach na podwórkach domów.

Nowa Kaledonia, obok Polinezji Francuskiej, to kolejne terytorium zależne Francji. Z samolotu Nowa Kaledonia to czerwona ziemia. Czerwony kolor nadaje nikiel, który jest tu najważniejszym bogactwem naturalnym. Społeczeństwo wyraźnie podzielone jest na potomków Francuzów i miejscowych Kanaków o dużo ciemniejszej skórze. Z Nowej Kaledonii najlepiej zapamiętaliśmy wyspę Ouvea, z ponad dwudziestokilometrową plażą i wspaniałymi widokami z mostu w Mouli.

Vanuatu, obok plemion w dolinie Omo w Etiopii, jest najodleglejszym kulturowo i cywilizacyjnie miejscem, w którym byliśmy. Wszędzie jest tu ciężko dotrzeć, nie ma tu asfaltowych dróg, rząd toleruje sektę John Frum, dzieci chodzą z maczetami, co jest tu normalne. Ludzie są biedni i nie mają zmysłu do interesu. Jest tu strasznie drogo (ceny dla turystów). Jednak klimat, który tworzy wulkan Yasur, piękna Champagne Beach, a szczególnie tutejsi ludzie i wioska Yakel, powodują, że Vanuatu jest perełką naszej podróży i chętnie tam kiedyś wrócimy.

W Australii byliśmy w czasie lokalnej zimy, więc zwiedziliśmy tylko **Sydney**, które nam się bardzo podobało. Kawalek „prawdziwej” Australii poznaliśmy będąc w Featherdale Wildlife Park, gdzie widzieliśmy i dotykaliśmy kangury i misie koala. Kulturowo Australia nie różni się od Europy Zachodniej czy USA, chyba że się pojedzie do Aborygenów, co nam jeszcze nie było dane.

Indonezja to kraj składający się z 17508 wysp, w którym spędziliśmy cały miesiąc. Niby jest to największy kraj muzułmański na świecie, ale okazało się, że większość ludzi jest niewierzących. Nie ma tu żadnego fanatyzmu religijnego jak w krajach arabskich (wyjątkiem są bomby podłożone w Kucie na Bali). Dodatkowo na niektórych wyspach większość ludzi stanowią chrześcijanie (np. Flores), hinduiści (np. Bali).

Ludzie w Indonezji jeżdżą strasznie, widzieliśmy wiele wypadków. Drogi są asfaltowe, ale przez motocykle, wózki, konie jeździ się z średnią prędkością 30 km/h. W niektórych miejscach przy drodze na podestach stoją wraki samochodów, które mają być ostrzeżeniem dla kierowców.

W Indonezji trzeba też uważać na samoloty. Wszystkie indonezyjskie linie lotnicze są na czarnej liście Unii Europejskiej przez to, że nie spełniają wymogów bezpieczeństwa. Sami lecieliśmy liniami Merpati, samolotem Fokker F-28 Fellowship. Był to jeden z najgorszych samolotów jakimi lecieliśmy, luki bagażowe same się otwierały a z klimatyzacji ciekła woda.

Ludzie byli przyjaźni dla turystów. Najbardziej przeszkadzało nam to, szczególnie w autobusach, że miejscowi nałogowo palą papierosy. Często także spotykaliśmy się z próbą oszustwa, naciągnięcia na większą ilość pieniędzy, co zdarza się często w biednych krajach. Jednak trzeba przyznać Indonezyjczykom, że są bardzo słowni. Nigdy nam się nie zdarzyło, żebyśmy się umówili a oni nie dotrzymaliby słowa. Czasami dawaliśmy nawet zaliczki nie mając pewności realizacji umowy.

Indonezja to ogromny i piękny kraj. Przez miesiąc widzieliśmy tam cuda natury (orangutany, smoki z Komodo, delfiny w Lovina, krater wulkanu Rinjani i Keli Mutu) oraz zwiedziliśmy wiele interesujących miejsc (Borobudur, Ubud) a jeszcze zostało tyle, że wystarczy na kolejną miesięczną wyprawę (np. Sulawesi, Papua).

ANGLIA

2007-06-22 Wrocław->Londyn

Wieczorem lecimy linią CentralWings z Wrocławia (Strachowice) do Londynu (Gatwick). Zauważamy, że ze Strachowic jest dużo więcej lotów i turystów w porównaniu do czasu, gdy lecieliśmy stąd ostatni raz. Jak na większości lotnisk, nie można obecnie przewozić cieczy w bagażu podręcznym. Wylatujemy z półtoragodzinnym opóźnieniem.

Z Gatwick jedziemy pociągiem Southern na Victoria Station. W hostelu, w którym chcieliśmy się zatrzymać, nie ma miejsc. Jest już po północy i nie mamy za bardzo jak dostać się do innych hoteli, więc zostajemy (po targowaniu) w pobliskim hotelu, którego właścicielem jest Hindus.

2007-06-23 Londyn

Jemy śniadanie (płatki, mleko, tosty, dżem), które jest w cenie noclegu. Jedziemy metrem do Queensway. Okazuje się metro jest zepsute od stacji Marble Arch, więc dalszą trasę pokonujemy autobusem. Hostel na Leincester okazuje się także pełny, ale znajdujemy w pobliżu tani nocleg. O 10:45 wychodzimy z hotelu i idziemy zwiedzać Londyn. Przechodzimy przez Hyde Park, oglądamy Royal Albert Hall, jezioro Serpentine, następnie Buckingham Palace, Westminster Abbey, Parliament i Big Ben. Dochodzimy do St Paul Cathedral (zamknięta) i słynnego Tower Bridge. Zwiedzamy London Tower, w którym słuchamy doskonałego przewodnika (historie o zdradach i zabójstwach) i oglądamy klejnoty królewskie (rewelacja) oraz muzeum broni. Później zwiedzamy teatr Shakespeare Globe (rekonstrukcja) i jedziemy London Eye. Dzień kończymy udając się metrem do Convent Garden i Trafalgar Square.

2007-06-24 London->Los Angeles

W naszym hotelu na recepcji pracuje Polak. Na śniadaniu (takie samo jak wczoraj i też w cenie hotelu) spotykamy prawie samych Polaków, którzy przyjechali tu do pracy. Następnie jedziemy metrem do Greenwich, gdzie oglądamy południk zerowy i Maritime Museum. Później jedziemy metrem do Kensington i oglądamy Natural Museum (dinozaury, ptaki, minerały). Jemy obiad w KFC, wracamy do hotelu po plecaki i jedziemy metrem na Heathrow. Z jednogodzinnym opóźnieniem odlatujemy Air New Zealand do Los Angeles. Robią nam zdjęcia, biorą odciski palców i już jesteśmy w USA. Z lotniska jedziemy autobusem Budget do wypożyczalni samochodów. Zarezerwowaliśmy najtańszy (prawie) samochód. Ku naszemu zaskoczeniu dostaliśmy Chevrolet PT Cruiser. Uznaliśmy to za dobry znak, bo takim samochodem tydzień wcześniej jechaliśmy do ślubu. Znajdujemy najbliższy motel i idziemy spać.

USA

2007-06-25 Los Angeles->Death Valley NP->Olancha

Nasze organizmy jeszcze się nie przestawiły i budzimy się o 5:40. Trochę później wyjeżdżamy w stronę Death Valley. Po drodze kupujemy aparat fotograficzny i zatrzymujemy się na jedzenie. Do parku narodowego dojeżdżamy około 15:00. Death Valley jest to najgorętsze miejsce na ziemi. Zaskakuje nas temperatura, która wynosi około 50 stopni w cieniu. Miejscowi ostrzegają nas, żeby mieć ze sobą dużo wody i nie wychodzić z samochodu (klimatyzowanego) na dłużej niż 15 minut. Najpierw oglądamy pustynię, wydmy. Później Devil's Corn Field, Zabriskie Point (żółte skały), Dante's View, Natural Bridge, Badwater Basin (największa depresja w Ameryce Płn, 86 m.p.p.m.), Artists Drive. Odległości między atrakcjami są ogromne, 30-50 mil. Opuszczamy park narodowy i do 22:30 jedziemy w kierunku Sequoia NP.

2007-06-26 Olancha->Sequoia NP

Wstajemy rano i do 15:00 jedziemy do Sequoia NP. Po drodze robimy tylko jeden przystanek na obiad. W Sequoia NP oglądamy największe drzewa na świecie. Zwiedzamy Foothill's Visitor Center, Moro Rock, Giant Forest, General Sherman (84 m wysokości, 9 m średnicy) i

Tokopah Valley. Idziemy na 3 km trekking do Tokopah Falls (wodospad), który nie wygląda imponująco o tej porze roku. Następnie wyjeżdżamy z parku narodowego i szukamy motelu.

2007-06-27 Sequoia NP->Kings Canyon NP->Yosemite NP

Od rana zwiedzamy Kings Canyon NP, sąsiadujący z Sequoia NP. Oglądamy General Grant Tree, Redwood Mountain Grove (długie szlaki, rezygnujemy z trekkingu), Hume Lake i Cedar Grove (miłe miejsce do kempingu, ale nic ciekawego nie ma). Następnie jedziemy do Yosemite NP. Nocujemy na kempingu Summerdale przy Yosemite NP.

2007-06-28 Yosemite NP->Reno

Zwiedzamy Yosemite NP: Manpasa Grove of Big Trees (z drzewem Grizzly Giant, którego konary były grubości naszych drzew), Glacier Point (wspaniały widok na szczyt Half Dome i wodospady), Tunnel View, Bridalveil Falls, Yosemite Falls, El Capitan, Olmsted Point, Tenaya Lake. W parku są bardzo duże różnice wysokości. O 15:00 wyjeżdżamy z parku przez Tioga Pass (9945 stóp) i jedziemy do Reno. Po drodze zatrzymujemy się na obiad. W Reno, czyli drugim Las Vegas, jesteśmy około 21:00. Znajdujemy motel przy ulicy z kasynami i zaczynamy zwiedzać. Kasyn jest dużo mniej niż w Las Vegas, ale ludzi jest bardzo dużo. Najładniejsze jest Silver Legacy, którego nie powstydziliby się Las Vegas.

2007-06-29 Reno->Lassen Volcanic NP->San Francisco

Od rana jedziemy do Lassen Volcanic NP, w którym jesteśmy około 13:00. Zaraz za wjazdem widzimy dymiącą ziemię (Sulphur Works). W dziurach bulgocze ciecz i wydobywa się z nich siarkowy dym. Następnie idziemy do Bumpass Hell (5 km w dwie strony), w którym znajdują się błękitne jeziora otoczone żółtą ziemią. Oglądamy cuda natury: błotne kociołki, dymiące kratery, gorącą rzekę o szarym kolorze. Wracając widzimy sarnę. Dalej przejeżdżamy obok ośnieżonego Lassen Peak i dojeżdżamy do Hot Rock (meteoryt). O 22:00 jesteśmy już w San Francisco. Wjeżdżamy do miasta kilkukilometrowym, dwupoziomowym mostem. Jeździmy sławnymi, stromymi ulicami w poszukiwaniu noclegu, który znajdujemy dopiero po zakupieniu mapy San Francisco na stacji benzynowej ☺

2007-06-30 San Francisco->Big Sur

Rano jedziemy do portu (Pier 33), skąd odpływają statki do Alcatraz. Niestety bilety są już wykupione na 4 dni naprzód, więc zwiedzamy tylko Fisherman's Wharf. Następnie jedziemy do Coit Tower (wieża widokowa), oglądamy Russian Hill na Lombard St (ulica zygzak, porośnięta kwiatami, można zjeżdżać tylko z góry). Następnie stoimy w długiej kolejce i kupujemy bilet na cable car (tramwaj), którym jedziemy do Chinatown. Następnie jedziemy oglądać Golden Gate Bridge. Idziemy pieszo przez most, zjeżdżamy samochodem pod most (Fort Point) a potem przejeżdżamy na drugą stronę, gdzie z pobliskich wzgórz są najlepsze zdjęcia ze słynnym mostem. Przed zachodem słońca oglądamy jeszcze śliczne domki na Steiner St (Alamo Square). Na koniec jedziemy na Russian Hill, gdzie jest ogromna kolejka samochodów do zjazdu w Lombard St (ulica zygzak). Jedziemy wybrzeżem na południe. Noclegi są tu bardzo drogie, albo nie ma wolnych miejsc. Wybieramy nocleg w samochodzie.

2007-07-01 Big Sur->Hearst Castle->Los Angeles

Jedziemy drogą widokową z Big Sur do San Simeon. Po drodze zatrzymujemy się i oglądamy piękne klify. Na jednym z postojów jest silny wiatr, który przy wysiadaniu wyrzuca Magdzie drzwi samochodu, które uszkadzają się o metalową barierę (na szczęście ubezpieczenie pokrywa koszty uszkodzenia). Jesteśmy na pustkowiu i tak samo jak w parkach narodowych, benzyna jest tu dużo (do 30%) droższa. Następnie oglądamy ogromne foki (elephant seals),

które ważą do 2,5 tony. Foki leżą na plaży, czasami przykrywając się mokrym piaskiem. Koło San Simeon jest Hearst Castle, wybudowany w latach 30 XIX wieku przez magnata prasowego. Oglądamy wielką posiadłość z 3 domkami gościnnymi, 2 pięknymi basenami i główny zamek (przez właściciela nazywany „rancho”), który zewnętrznie jest kopią europejskiego kościoła. W środku znajdują się średniowieczne stele, starodawne meble sprowadzone z Włoch i Hiszpanii. W zamku bywali najbardziej znani politycy i aktorzy. Zamek jest niedokończony, z powodu kryzysu lat 30 i bankructwa króla (właściciela :)

Wieczorem jesteśmy już w Los Angeles. Zwiedzamy Malibu i Santa Monica. Idziemy molo z karuzelami. Oglądamy pokaz magika i człowieka orkiestry. Widzimy rybaków łowiących ryby. Ludzi jest bardzo dużo, ale to przecież weekend.

2007-07-02 Los Angeles->Hollywood->Nadi

Po śniadaniu (w cenie motelu) zwiedzamy Hollywood. Zaczynamy od Kodak Theatre, w którym rozdaje się Oscary. Scena jest ogromna (większa niż boisko NBA), ale widownia jest mała (3200 miejsc, w telewizji wydaje się większa). Oglądamy także prawdziwą statuetkę Oscara, przyznaną firmie Kodak. Przed ceremonią rozdania Oskarów Kodak Theatre jest zamykany na prawie miesiąc. W środku i na ulicy pojawiają się czerwone dywany. Ponieważ puste miejsca wyglądają źle w telewizji, na noc rozdania Oskarów zatrudnia się ludzi, którzy zajmują miejsca, gdy ktoś z widowni wychodzi do ubikacji (seat filler).

Przed Kodak Theatre jest Aleja Gwiazd (Walk of Fame) z gwiazdami znanych aktorów, reżyserów. Później jedziemy do Hollywood Observatory, z którego oglądamy panoramę miasta i słynny znak „Hollywood”. Na Beachwood St znajdujemy lepsze miejsce z widokiem na słynny znak. Następnie jedziemy do parku rozrywki Universal Studios. Oglądamy film Shrek 4D, jedziemy rollercoasterami Mummy i Jurassic Park, przechodzimy przez House of Horror (z żywymi ludźmi). Robimy przejażdżkę samochodem w Back to the Future i oglądamy pokaz w Water World. Widzimy jeszcze pokaz tworzenia efektów specjalnych i ognia (do filmu Backdraft).

Wieczorem jedziemy na lotnisko, gdzie oddajemy samochód i opóźnionym samolotem odlatujemy do Nadi na Fiji.

FIJI

2007-07-04 Nadi->Wyspy Mamanuca->Nacula (Wyspy Yasawa)

Przekroczyliśmy samolotem międzynarodową linię zmiany daty, dlatego na Fiji jest już 4 lipca, a nie 3 lipca. Od razu widać tu większy luz i spokój. Na lotnisku wita nas zespół grający lokalne piosenki. Odprawiamy się u celnika w dresie. Następnie wypłacamy pieniądze z bankomatu, kupujemy bilety na katamaran Yasawa Flyer, który zabierze nas na wyspy Yasawa oraz rezerwujemy noclegi (co się okaże normą na wyspach Pacyfiku). Statek wypływa o 8:30 (wcześniej niż podaje Lonely Planet), więc musimy wziąć taksówkę do portu. W porcie robimy zakupy, bo czytaliśmy, że na wyspach jest drożej.

Wypływamy punktualnie. Katamaran po drodze zatrzymuje się przy różnych wyspach zostawiając i zabierając ludzi. My płyniemy na najdalsze wyspy, więc mamy okazję zobaczyć cały archipelag. Na początku zatrzymujemy się przy South Sea Island (płaska, mała, można ją obejść dookoła przez 5 minut). Następne wyspy są większe. Za Treasure Island zaczyna padać deszcz i chowamy się w środku. Płyną z nami prawie sami biali i młodzi. Po czterech godzinach dopływamy do wyspy Nacula. Przyplływa po nas łódka z naszego hotelu (Nabua Lodge). Jesteśmy lekko rozczarowani plażą (żółto-czarny, wulkaniczny piasek i algi). Na wyspach Yasawa nie ma samochodów, sklepów, więc pełne jedzenie jest w cenie noclegu. Na obiad dostajemy ryż z białą kapustą. Po obiedzie udajemy się w poszukiwaniu

najładniejszej plaży na Fiji, którą ma być Oarsman's Bay Beach. Idziemy plażą przez 1,5 godziny. Plaża jest ładna, ale widzieliśmy już ładniejsze. Za to można tu pływać, bo na naszej plaży jest odpływ i jest bardzo płytko. Wracamy 45 minut przez środek wyspy. Wracamy około 18:00, na zachód słońca. O 19:00 jest kolacja w formie szwedzkiego stołu (pieczone kiełbaski, arbuz, mięso, ziemniaki, surówka i gruszki na deser). Po kolacji są wspólne zabawy i nauka tańca (Bula dance). Po tańcach chętni próbują tradycyjnego napoju (kava) wysp Pacyfiku. Są też minusy: w pokoju nie mamy ciepłej wody a prąd jest od 18 do 22.

2007-07-05 Nacula->Nanuya Lailai (Wyspy Yasawa)

Po śniadaniu (szwedzki bufet) idziemy zwiedzać drugą stronę wyspy. Po wejściu na lokalny szczyt widać piękną panoramę na ocean i naszą wyspę. Wracamy na naszą plażę, gdzie opalamy się i pływamy. Jest przypyływ, więc plaża jest wąska, ale za to można się kąpać. Przed południem przepływamy łódką na kolejną wyspę: Nanuya Lailai. Nasz nowy hotel (Gold Coast Resort) ma ładniejszą plażę. Po obiedzie idziemy na drugą stronę wyspy, gdzie jest największa atrakcja, czyli znana z filmów The Blue Lagoon. Laguna bardzo nam się podoba. Plażujemy, pływamy. W wodzie jest rafa koralowa z rybkami. Wieczorem wracamy do naszego hotelu, gdzie w oczekiwaniu na kolację leżymy w hamakach.

2007-07-06 Nanuya Lailai->Nadi

Do obiadu odpoczywamy na plaży. Później wyprowadzamy się z hotelu i płyniemy do katamaranu Yasawa Flyer. Na statku spotykamy tych samych, z którymi płynęliśmy przedwczoraj. Oni przeprowadzają się na inne wyspy, a my musimy już wracać. Dzisiaj jest piękna pogoda i dobrze widać mijane wyspy. Najciekawszym widokiem jest pas piasku, który łączy dwie sąsiednie wysepki (pewnie podczas przypyłwu znika całkowicie). Na statku oglądamy także cudowny zachód słońca. Z portu znajdujemy autobus, który za darmo zabiera nas do centrum. Wieczorem na Main St jest głośno, dużo dyskotek, co jest sporą odmianą po wyspach :)

2007-07-07 Nadi->Rarotonga

Po śniadaniu w hotelu (w cenie noclegu) zwiedzamy hinduską świątynię Sri Siva Subrahmanya Swami. Później jedziemy autobusem na lotnisko, skąd wylatujemy (Boeing 737) do Rarotongi na Wyspach Cooka. Znowu przekraczamy międzynarodową linię zmiany daty i jesteśmy na miejscu dzień wcześniej, czyli znowu jest 6 lipca :) W ten sposób odzyskaliśmy stracony dzień (3 lipca). Na lotnisku idziemy pytać się do Air Rarotonga o nasze przeloty tą linią. W międzyczasie wszyscy właściciele hoteli i taksówki, którzy czekają na każdy samolot, znikają z lotniska. Decydujemy się nocować w Tiare Village, ale nie wiemy jak tam dojechać, więc idziemy do droższego Hotelu Aquarius, który widać z lotniska. Pod samym hotelem zatrzymuje się starsza para, która oferuje się, że nas podwiezie do Tiare Village. Po zakwaterowaniu się w hotelu idziemy do centrum miasta na kolację.

POLINEZJA FRANCUSKA

2007-07-07 Rarotonga->Papetee (Tahiti)

Rano budzą nas koguty. Z właścicielką hotelu jedziemy do stolicy (Avarua to jedna ulica i kilkanaście domów w niskiej zabudowie :) W biurze Island Hopper Vacations robimy rezerwację hotelu na wyspie Aitutaki, gdzie będziemy po powrocie z Polinezji Francuskiej. Następnie jemy obiad, wracamy po plecaki i idziemy na lotnisko. Lotnisko jest malutkie, chodzą po nim kury :) Okazuje się, że lecimy Air Tahiti, chociaż bilety kupiliśmy przez internet w Air Rarotonga. W samolocie ATR-72 jest open-seating, czyli można siadać gdzie

się chce. Po przylocie okazuje się, że Air Tahiti zgubiło nasz namiot, który miał się nam właśnie przydać najbardziej na Polinezji Francuskiej. Czujemy, że jest tu cieplej niż na Fiji i Wyspach Cooka. Szukamy pensjonatu Fifi, który jest przy lotnisku. Znajdujemy go dopiero z pomocą miejscowych, którzy dzwonią na numer z naszego przewodnika. Wszyscy ludzie mówią tylko po francusku. Właściciel pensjonatu zna także hiszpański, którym się z nim komunikujemy. Mówi, że po ostatnim wypadku zakazano podróżowania na pokładzie statków cargo na Bora-Bora. Teraz można podróżować tylko w kabinie, ale miejsc jest tak mało, że są wykupione na 3 tygodnie z góry.

2007-07-08 Papetee->Moorea

Rano idziemy na lotnisko i kupujemy bilet lotniczy na Bora-Bora, wylot za dwa dni. Następnie bierzemy plecaki i jedziemy autobusem do portu. Promy na Moorea są tylko rano (9:00) i po południu (15:00-16:00), ale mamy szczęście, bo rano prom był zepsuty i przełożyli go na 12:00. Kasy w porcie są zamknięte (niedziela), więc bilety kupujemy po wypłynięciu, w barze na statku. Na Moorea pada deszcz. Z portu nie ma autobusu, bo przyjeżdża on tylko, gdy przypływają szybkie promy (a my płynęliśmy dużym, wolniejszym). Po 1,5h czekania z kilkoma innymi turystami załapujemy się na busika, który przywiózł turystów na prom powrotny. Jedziemy na drugą stronę wyspy, do Chez Nelson Camping. Nie ma nikogo w recepcji, więc dzwoniemy do właścicieli, którzy pojawiają się po kwadransie. Pożyczyliśmy kartę telefoniczną, więc przy okazji robimy rezerwację noclegów na Bora-Bora. Nie mamy namiotu, zresztą pada deszcz, więc bierzemy pokój dwuosobowy.

2007-07-09 Moorea->Papetee

Tym razem mamy nocleg bez śniadania, więc idziemy do sklepu i sami sobie robimy śniadanie we wspólnej kuchni. Później idziemy na plażę. Dzisiaj cały dzień świeci słońce. Po 14:00 schodzimy z plaży, robimy sobie obiad i jedziemy do portu. Płyniemy z powrotem na Tahiti. Na miejscu pytamy, gdzie możemy złapać autobus (le truck) w stronę lotniska. Miejscowy chłopak prowadzi nas na przystanek autobusowy. Nocujemy znowu w Fifi, bo rano lecimy na Bora-Bora. Właściciel pensjonatu chce nam pożyczyć własny namiot, bo wie, że zgubili nam nasz namiot. Wieczorem robimy zakupy przed wylotem na Bora-Bora (później okazuje się, że niepotrzebnie) i przepakowujemy się do jednego plecaka, bo do samolotu można zabrać tylko 10 kg/os. Drugi plecak zostaje w Fifi.

2007-07-10 Papetee->Bora-Bora

Rano wylatujemy na Bora-Bora. Jest open-seating, więc siadamy po lewej stronie (lepsze widoki). Przelatujemy nad Moorea, Raiatea, Taha. Widoki z samolotu są super. Bora-Bora składa się z głównej, górzystej wyspy i otaczającego pierścienia mniejszych wysep (motu). Już z samolotu widać słynne hotele na palach w wodzie, które wymyślono na Polinezji Francuskiej. Lotnisko jest na motu i ma całkiem niezłe plaże. Na lotnisku ludzie robią sobie zdjęcia z główną wyspą oraz z napisem „Aéroport de Bora-Bora”. Po odebraniu plecaków, płyniemy łódką Air Tahiti do głównego portu. Stamtąd jedziemy autobusem do Pension Maeva Chez Rosine. Jest to prywatny domek przerobiony na pensjonat. Ma dobrze wyposażoną kuchnię, dzięki czemu można sobie samemu gotować (a restauracje są tu bardzo drogie). Myśleliśmy, że tylko najdroższe hotele mają domki na palach w wodzie, ale nawet obok znajduje się hotel z takimi domkami. Wybraliśmy tą część wyspy, bo kilka minut od pensjonatu znajduje się najładniejsza publiczna plaża na głównej wyspie Bora-Bora. Oczywiście najładniejsze plaże są na motu, ale tam noclegi kosztują od 400-1000\$ za noc i lepiej tam jechać z biurem podróży, które dostaje dużo lepsze ceny.

2007-07-11 Bora-Bora

Okolo 5 minut od naszego pensjonatu jest dobrze wyposażony sklep, w którym robimy zakupy. Mieszkamy na półwyspie. Po śniadaniu idziemy na drugą stronę półwyspu, gdzie jest super plaża z palmami, bardzo ładna i czysta woda. Jedyne problem, że jest bardzo płytko i trzeba iść kilkadziesiąt metrów w głąb wody, żeby się wykąpać. Za to przy naszym pensjonacie jest dużo głębiej, przez co woda jest ciemniejsza, ale też bardzo ładna. Z tej strony cumują łódki a plaża jest bardzo wąska. Spędzamy cały dzień na opalaniu, pływaniu i spacerach. Pomimo, że Fiji leży w podobnej odległości od równika, mamy wrażenie, że jest tu cieplej a woda jest tu dużo cieplejsza.

2007-07-12 Bora-Bora->Maupiti

Rano jedziemy do portu (Vaitape), skąd statkiem Maupiti Express (pływa we wtorki, czwartki, soboty) płyniemy na wyspę Maupiti. W przewodniku Maupiti opisywane jest jako Bora-Bora 30 lat temu, ponieważ jest tam jeszcze bardzo mało hoteli i turystów. Rejs nie jest zbyt przyjemny. Strasznie buja a my próbujemy spać, bo jest dużo wolnych miejsc. Maupiti, podobnie jak Bora-Bora, otoczone jest małymi wysepkami (motu) i skałami, o które rozbijają się fale. Wpływamy wąskim przesmykiem między wysepkami i dopływamy do portu na głównej wyspie. Tym razem zrobiliśmy rezerwację w hotelu w droższej części wyspy, czyli na motu. W porcie czeka na nas łódka z naszego hotelu. Zostajemy obdarowani wieńcami ze świeżych kwiatów. Płyniemy łódką na Motu Tuanai, gdzie leży Pension Poe Iti. Są tu na razie tylko cztery domki, położone w ogrodzie. Domki są rewelacyjne: nowoczesne, z werandą, klimatyzacją, lodówką i łazienką z ciepłą wodą. Wszystko jest w wysokim standardzie i czujemy się jak turyści w najdroższych hotelach (a z zeszłego roku wiemy jak wyglądają pięciogwiazdkowe hotele). Jedynym problemem jest tu bardzo droga restauracja, która nie ma żadnej alternatywy. Jednak byliśmy na to przygotowani i przyjechaliśmy tu z dużym zapasem jedzenia.

2007-07-13 Maupiti

Mieszkamy na motu, z którego widać główną, górzystą wyspę. Na przeciwległym brzegu stoi mały kościółek z czerwonym dachem, który doskonale wygląda na tle błękitnej wody. Woda jest bardzo płytka i można dojść aż dwie trzecie drogi do kościoła. Od tego miejsca robi się głębsza i ma ciemniejszy kolor. Tędy płyną łódki. Jednak najciekawsze jest, że między naszym motu a główną wyspą znajduje się wąska dróżka utworzona z piasku, kończąca się przy głębokiej wodzie. Tu można się poczuć, jakby się chodziło po wodzie. Pod koniec (dwie trzecie drogi do kościoła) dróżka jest trochę szersza, jakby mała wysepka. Stąd można robić zdjęcia w każdą stronę i wszędzie widoki są rewelacyjne (kościół na tle wody, sąsiednie motu lub plaża z palmami na naszej wyspie). Wieczorem jest odpływ i dróżka jest nawet szersza.

Rano płyniemy kajakiem na dwie osoby (w cenie noclegu) przy naszym motu. Chcieliśmy popłynąć do kościoła, ale trafiliśmy na zawody kajakowe. Wracamy więc na nasze motu i plażujemy. Słońce mocno grzeje i trzeba uważać, żeby się nie spalić. Po południu płyniemy kajakiem na sąsiednie Motu Tiapaa, co nam zajmuje około godzinę w jedną stronę. Do tego motu też można przejść pieszo, z wyjątkiem ostatnich metrów, gdzie jest głębiej. Następnie oglądamy przepiękny zachód słońca.

2007-07-14 Maupiti->Bora-Bora

Kajakowanie nam się spodobało. Rano płyniemy kajakiem do kościoła z czerwonym dachem. W drodze powrotnej zatrzymujemy się na końcu piaskowej dróżki w wodzie. Tu woda jest głęboka, zimniejsza i możemy popływać. Wygląda na to, że jest to także ulubione miejsce miejscowych, bo kilka razy widzieliśmy tu cumujące łódki. Jest szczyt sezonu, ale w przeciwieństwie do Bora-Bora prawie nie widać tu turystów, co nas bardzo cieszy. Wracamy do hotelu i leżymy w cieniu na leżakach przed naszym hotelem. O 15:00 wypływamy do

portu na głównej wyspie, skąd o 16:00 odpływamy na Bora-Bora. Fale są duże i bardzo buja. Na zachód słońca (18:00) przyplływamy na Bora-Bora. Nocujemy w Chez Rosine.

2007-07-15 Bora-Bora

Cały dzień plażujemy. Około południa jest największe słońce i jest tak gorąco, że trzeba ochładzać się w morzu. Do pensjonatu wracamy na obiadokolację (16:00). Zostajemy zaproszeni na wspólną kolację z właścicielką i turystami z Francji i Szwajcarii. Na stole jest surowa ryba po tahitańsku w mleku kokosowym, carpaccio rybne, krewetki w sosie curry z warzywami. Dołącza do nas właścicielka sąsiedniego hotelu, sąsiadka Rosine. Opowiada, że przyjechała tu 33 lata temu, kiedy było tu 1000 mieszkańców. Obecnie jest ich 9 razy więcej i szybko rośnie. Mówiła także o sławnych czarnych perłach, które się tu produkuje. Dowiedzieliśmy się także o tsunami, które przeszło przez Bora-Bora. Dzięki skałom i rafie otaczającej wyspę, fala została rozbita i uderzenie było dużo słabsze. W 2003 roku umarła część rafy koralowej, nikt nie wie dlaczego, a obecnie się odbudowuje.

2007-07-16 Bora-Bora->Papetee

Bora-Bora żegna nas brzydką, deszczową pogodą, jakby nie chciało, żebyśmy wyjeżdżali. Robimy zakupy, jemy na tarasie a następnie płyniemy kajakiem na Motu Piti Aau. Po drodze (między Motu Piti Uu Uta (Sofitel Motu) i Motu Piti Uu Tai) zatrzymujemy się na snorkling (bardzo ładne i duże ryby), w miejscu, gdzie zatrzymują się łódki z turystami. Dopływamy do Motu Piti Aau, gdzie odpoczywamy i spacerujemy plażą. Widzimy tu stół z krzesłami w wodzie, dzięki czemu można jeść obiad ze stopami zanurzonymi w morzu. Płynęliśmy tu 2 godziny (3 km w jedną stronę), bo było pod prąd. Powrót jest dużo łatwiejszy i zajmuje tylko godzinę. W drodze powrotnej opływamy drogi Hotel Sofitel, z własnym motu i domkami na wodzie. Po powrocie jemy zasłużony obiad i pakujemy się na wyjazd. Byliśmy umówieni z kierowcą, który ma nas zabrać do portu. Kierowca jednak się nie pojawia i musimy łapać stopa. Zatrzymują się Francuzi zajmujący się organizacją nurkowania z butlą (divingu). W porcie widzimy dzisiaj dwa wielkie statki wycieczkowe. Wylatujemy z lekkim opóźnieniem, oglądając Bora-Bora nocą. Na lotnisku na Tahiti odzyskujemy nasz namiot, który przyleciał następnym samolotem. Nocujemy znowu w Fifi.

WYSPY COOKA

2007-07-17 Papetee->Rarotonga->Aitutaki

Wstajemy o 5:00, bo o 7:15 mamy samolot na Wyspy Cooka. Wyspy Cooka są częściowo zależne od Nowej Zelandii i walutą jest tu dolar nowozelandzki. Po przylocie przepakowujemy się w jeden plecak (ograniczenie 10 kg/os.) a drugi zostawiamy w skrytce na lotnisku. Po południu lecimy na Aitutaki. Idziemy do Avarua (stolicy) na zakupy. Ku naszemu zdziwieniu, w markecie jedzenie jest droższe niż na Polinezji Francuskiej. Jemy obiad, wracamy na lotnisko i o 15:30 wylatujemy na Aitutaki. Lecimy małym samolotem Saab 340, który ma tylko 3 siedzenia w jednym rzędzie. Lot trwa tylko 40 minut, siedzimy po lewej stronie, gdzie są lepsze widoki. Lądując widzimy całą Lagunę, ładne wysepki i główną wyspę, na której lądujemy. Właścicielka Inano Beach Lodges, gdzie zrobiliśmy rezerwację, czeka na nas na lotnisku. Znowu dostajemy wieńce ze świeżych kwiatów. Hotel składa się z siedmiu domków (bungalów), wybudowanych własnoręcznie przez właściciela i tylko z lokalnych materiałów. Domek jest ładny, bardzo duży, z łazienką i kuchnią. Plaża jest taka sobie, woda z wymarłą rafą koralową, za płytka na kąpanie. Jednak to nie problem, bo 5 minut dalej jest jedna z najładniejszych plaż na wyspie.

Wieczorem w Hotelu Samade ma być cotygodniowe Island Night (kolacja + miejscowe tańce i śpiewy). Okazuje się, że wszystkie miejsca są zarezerwowane przez gości

weselnych pary z Nowej Zelandii, która brała tu ślub. Jak się później dowiedzieliśmy, ślub był na plaży. Wszyscy byli ubrani bardzo lekko, z powodu klimatu. Państwo Młodzi na miejsce ceremonii przyptynęli czółnem.

Dowiedzieliśmy się jednak, że możemy przyjść do baru i z boku oglądać Island Night. Kobiety były ubrane w spódniczki z liści palmowych oraz biustonosze zrobione z kokosa. Mężczyźni mieli tylko przepasane biodra. Z tyłu była orkiestra, w której grali i śpiewali starsi. Mężczyźni tańczyli bardziej energicznie, dużo tupiąc i rozszerzając nogi. Tańce kobiet były bardziej delikatne, kończące się zwykle bardzo szybkim kręceniem biodrami. Z tyłu, za kobietami i mężczyznami tańczyły dzieci, które się dopiero uczyły. Po skończonych tańcach (trwały około godziny) kilka osób, a wśród nich Młoda Para, zostali zaproszeni na naukę miejscowego tańca.

2007-07-18 Aitutaki->One Foot Island->Aitutaki

O 10:00 wypływamy na rejs statkiem Bishop's Cruises. W czasie rejsu załoga gra i śpiewa te same piosenki, które słyszeliśmy wczoraj na Island Night. Mamy krótki postój na One Foot Island, gdzie wysiada kucharz. Według przewodnika (książka) One Foot Island jest najładniejszą wyspą na Wyspach Cooka. My płyniemy dalej na snorkling. Woda jest bardzo ładna (jasnoniebieska). Przed wejściem do wody oglądamy wielką niebieską rybę, którą nasz przewodnik karmi dużymi kawałkami mięsa. Rafa i rybki są niezłe, ale lepsze były na Bora-Bora. Widzimy za to w wodzie ciekawą płaszczkę, która wyglądem przypomina przewróconą rybę. Niebieska ryba z wody wydaje nam się jeszcze większa (ma ponad metr). Po snorklingu wracamy na One Foot Island. Po drodze mijamy śliczne, małe wysepki na których nie ma nic poza piaskiem. Na One Foot Island jemy obiad, na którym są dwa rodzaje ryb, smażone banany, sałatka z białej kapusty, ziemniaki i dużo owoców. Wszystko jest bardzo smaczne.

Po obiedzie mamy dwie godziny dla siebie. Idziemy po wodzie (po kolana) do małej wysepki, na której nie ma nic oprócz piasku. Robimy zdjęcia i wracamy na One Foot Island. Idziemy na drugą stronę wyspy, gdzie jest bardzo ładna plaża z palmami. Śliczna woda, dobra pogoda i otaczające wysepki tworzą klimat, że czujemy się jak w raj. Nic dziwnego, że Magda wraz z innymi turystami wbija sobie pieczętkę z One Foot Island (w kształcie stopy) do paszportu :) Pieczętka robi później furorę wśród celników w dalszych etapach naszej podróży.

W drodze powrotnej oglądamy pokaz otwierania kokosa drewnianym kijem, robienia wiórków kokosowych i liny z kokosa. Około 16:00 jesteśmy na Aitutaki, gdzie gotujemy sobie kolację i na plaży oglądamy zachód słońca.

2007-07-19 Aitutaki

Cały dzień spędzamy na jednej z najładniejszych plaż na Aitutaki, obok Hotelu Samade. Opalamy się, pływamy, spacerujemy. Pogoda jest taka sobie, bo często przychodzą chmury, ale może dzięki temu się nie spaliliśmy. Jak na szczyt sezonu to nie widać tu dużo turystów. Na Polinezji Francuskiej było dużo więcej ludzi. Inni turyści wypożyczają kajaki, ale dla nas to już nie taka duża atrakcja. Większość wypożycza także skutery lub rowery, dzięki którym może dojechać do centrum wyspy, gdzie są sklepy. My przywieźliśmy jedzenie z Rarotongi.

2007-07-20 Aitutaki->Rarotonga

Od rana pada. Tak samo jak na Bora-Bora w dzień naszego wyjazdu. Łapiemy stopa i jedziemy do centrum, na drugą stronę wyspy. Centrum wyspy wygląda jak nasza wioska. Po głównej ulicy chodzą kury. Miejscowy sklep (superstore) jest całkiem niezłe zaopatrzone, bo co miesiąc przyptywa tu statek z Rarotonga. Następnie spacerujemy plażą i oglądamy hotele przy plaży. Przewodnik nie kłamał, z drugiej strony wyspy plaże są ładniejsze. Jakby ktoś sprzątał te plaże byłyby całkiem ładne. Przy hotelach plaże są posprzątane i od razu widać

granicę, gdzie się hotel zaczyna i kończy. Z hoteli najbardziej podobają nam się Paradise Cove i Pacific Resort. Z plaży wychodzimy na główną drogę i wdrapujemy się na najwyższy szczyt wyspy Maungapu (124 m.n.p.m.). Stąd rozciąga się ładny widok na całą wyspę i lagunę. Jednak dzisiaj pogoda nam nie dopisuje. Schodzimy w dół i łapiemy stopa w stronę Ootu Beach, gdzie mieszkamy. Jest tu mało samochodów, ale bardzo łatwo złapać stopa, bo każdy się chętnie zatrzymuje. Jemy obiad, później właścicielka hotelu zawozi nas na lotnisko i o 19:10 odlatujemy na Rarotongę, gdzie jesteśmy już o 20:00. Idziemy do hotelu na lotnisku (Aquarius), ponieważ wcześniej rano lecimy dalej. Śpimy w bardzo ładnym, klimatyzowanym dormie, bo wszystkie pokoje były zajęte.

2007-07-21 Rarotonga->Auckland

Wstajemy o 2:40, bo o 4:40 mamy samolot do Auckland. Ku naszemu zaskoczeniu mężczyzna śpiewający piosenki na lotnisku też jest już na lotnisku. Rentgen na lotnisku się zepsuł i wszyscy turyści są przeszukiwani ręcznie.

Ostatni raz podczas tej podróży przekraczamy międzynarodową linię zmiany daty. W Auckland jest już 22 lipca. Tracimy jeden dzień, który będziemy odzyskiwać godzina po godzinie zbliżając się do Europy.

NOWA KALEDONIA

2007-07-22 Auckland->Noumea

W Auckland czekamy około 6 godzin na lot do Noumea w Nowej Kaledonii. W tym czasie oglądamy kartki, przeglądamy przewodniki Lonely Planet i przygotowujemy dalszą część naszej podróży.

Do Nowej Kaledonii lecimy linią AirCalin. W samolocie jest bardzo mało ludzi. Przesiadamy się na prawą stronę, skąd są lepsze widoki. Z powietrza Nowa Kaledonia to czerwona ziemia, co jest spowodowane dużą zawartością metali. Po przylocie łapiemy stopa do stolicy (Noumea), która jest około 50 km od lotniska, bo publiczne autobusy już nie jeżdżą a shuttle jest bardzo drogi. Nie zdążamy wyjść z lotniska na główną drogę, gdy zatrzymuje się Kanadyjka, która zabiera nas do stolicy. Jej mąż przyjechał tu do pracy w kopalni niklu. Pani jest tak miła, że postanawia zawieźć nas na viewpoint, z którego widać całe miasto i zatokę, na który zabrał ją mąż zaraz po przyjeździe do Nowej Kaledonii. Później jedziemy do hostelu (Auberge de Jeunes), położonego na górze nad centrum miasta. Jest jeszcze wcześniej, więc postanawiamy iść na miasto. W drodze słyszymy dzwony katedry. Idziemy do katedry i zostajemy na Mszy św. po francusku. Dostajemy kartkę z głównymi częściami Mszy, dzięki czemu jesteśmy w stanie coś zrozumieć, bo kiedyś uczyliśmy się francuskiego.

2007-07-23 Noumea->Ouvea

Nowa Kaledonia jest terytorium zamorskim Francji i wszyscy mówią tu po francusku. Jak to bywa w większości francuskojęzycznych krajów, ciężko się tu dogadać po angielsku. Dzięki temu nasz francuski z dnia na dzień jest coraz lepszy. Przerabialiśmy to już na Polinezji Francuskiej, która ma tą samą walutę.

Rano idziemy do portu. Łodzie na sąsiednie wyspy pływają dwa razy w tygodniu. Jedna z pasujących nam łodzi właśnie odpłynęła. Poza tym mamy tylko tydzień na Nową Kaledonię, więc nawet jak się dostaniemy na interesujące nas wyspy to nie będziemy mieli jak wrócić. Idziemy do linii Air Caledonie i okazuje się, że z powodu ferii zimowych wszystkie loty na Isle de Pins są wykupione. Kupujemy bilet na drugą wyspę, którą chcieliśmy zobaczyć, czyli Ouvea. Wracać będziemy statkiem Havannah, który jest tylko dwa razy tańszy niż samolot.

Odwiedzamy rządowe biuro Province Nord, gdzie za darmo pani robi nam rezerwacje samochodu, noclegów w Hienghene i przewodnika w Voh. Wszystko to zaplanowaliśmy zrobić po naszym powrocie w Ouvea. Następnie robimy zakupy i jedziemy autobusem na krajowe lotnisko Magenta, z którego odlatujemy na Ouvea (lepsze widoki z lewej strony). Na loty krajowe jest limit 10 kg/osobę, więc połowę naszych bagaży zostawiamy w skrytce w hostelu. Z samolotu oglądamy najdłuższą plażę jaką widzieliśmy w życiu (ponad 30 km), z której słynie ta wyspa. Widzimy także okolice Mostu Mouli, który często się pojawia na widokówka z Ouvea.

Z lotniska nie ma jak się wydostać, więc łapiemy stopa. Mają nas zabrać do skrzyżowania z główną drogą, ponieważ mieszkają na północy wyspy a my chcemy dotrzeć na samo południe, do Mouli. Są tak mili, że zabierają nas jednak do samego Mouli, 30 km od skrzyżowania z główną drogą. Nie chcą od nas pieniędzy, ale czujemy się w obowiązku coś im dać, zwłaszcza, że na bogatych nie wyglądają. Postanawiamy znowu wykorzystać nasz namiot i rozbijamy się na kempingu na plaży, między palmami, przy Gite de Cocotiers. Plaża na południu wyspy jest najładniejsza. Jest szeroka i ma biały, drobny piasek. Następnie idziemy na plażę, gdzie oglądamy zachód słońca i jemy kolację.

2007-07-24 Ouvea

Jesteśmy na dość odludnym miejscu, ale na szczęście blisko jest sklep. Chcieliśmy kupić bagietki, ale o 9 rano były już wykupione. Kupiliśmy więc płatki, które zjedliśmy z mlekiem. Po śniadaniu zrobiliśmy sobie spacer po plaży, która jest zupełnie pusta. Następnie łapiemy stopa i jedziemy na słynny Most Mouli. Prawie wszyscy zatrzymują się na tym moście, żeby robić zdjęcia. Widoki są przepiękne, dookoła woda w różnych odcieniach błękitu. Widzimy ogromnego żółwia, przepływającego pod mostem. Jedyny problem to straszny wiatr. Następnie zwiedzamy okolice mostu i plażę po dwóch stronach wyspy. Bardzo śmiesznie wyglądają bagietki wsadzone do czegoś w rodzaju skrzynki pocztowej. Przy okazji znajdujemy restauracje, a raczej bar, w którym jemy niedobry (i drogi) obiad.

Wracamy stopem na kemping. Czekamy dość długo, ponieważ w porze obiadowej jeździ bardzo mało samochodów. Wieczór spędzamy na plaży, oglądając zachód słońca.

2007-07-25 Ouvea->Mare

Wstajemy o 6:30 rano. Jedziemy na raty (trzema samochodami) na północ wyspy, do portu, z którego wypływa statek Havannah do Noumea. Płynie z nami bardzo mało turystów, więc jest dużo miejsca. Po drodze, na Mare, dosiada się bardzo dużo Kanaków (tubylców). Płyniemy cały dzień. Strasznie buja, więc próbujemy spać całą drogę, żeby nie wymiotować.

2007-07-26 Mare->Noumea->Hienghene

O 7:00 rano wpływamy do portu. Następnie idziemy do firmy Visa, gdzie wypożyczamy samochód na dwa dni. Wybraliśmy pakiet z „unlimited kilometers”, ponieważ w innym przypadku mogłoby nas to kosztować dwa razy więcej. Samochodem jedziemy do Tjibaou Cultural Center, gdzie oglądamy ogród, muzeum oraz ciekawe domki Kanaków z różnych części Nowej Kaledonii.

Potem jedziemy do Hienghene, 400 km na północ, co zajmuje nam około 6 godzin. Przed zachodem słońca zwiedzamy wystające z morza Rinderalique Rocks, ze skałami w kształcie kokoszki i sfinksa. Nocujemy w wiosce Tiendanite, w chatce Kanaków, co zarezerwowaliśmy kilka dni wcześniej w Noumea. Dojazd tam był utrudniony, ponieważ przez połowę drogi z Hienghene (10 km) nie było asfaltu. Wioska jest w dżungli, ale ma elektryczność. Chatki są bardzo proste, w zasadzie w środku jest tylko materac. W wiosce jest dużo koni, którymi jeżdżą miejscowi. Na kolację dostajemy tradycyjne danie – bougna. Jest

to kilka rodzajów ziemniaków (różne kolory) z kurczakiem, wszystko podane w mleku kokosowym, na liściach bananowca.

2007-07-27 Hienghene->Voh->Bourail->Noumea

Wstajemy o 5:00 rano, bo o 8:00 jesteśmy umówieni z przewodnikiem na przeciwko cmentarza w Voh. Chcemy zobaczyć słynne Serce z Voh, czyli las, który z góry ma idealny kształt serca. Dojeżdżamy spóźnieni 15 minut, bo mieliśmy do przejechania prawie 200 km z Hienghene. Okazuje się przewodnik nie mówi po angielsku a droga jest tak prosta, że nie potrzeba było przewodnika. Serce widać kiepsko z dwóch powodów. Po pierwsze, jesteśmy za daleko i jest kiepski kąt. Serce dużo lepiej widać z samolotu, który też można wynająć. Po drugie, kolorystyka serca jest chyba lepsza w porze deszczowej. Wejście i zejście zajmuje 2 godziny.

Następnie jedziemy do Bourail, gdzie oglądamy ciekawe formacje skalne La Roche Percee i Le Bonhonme. O 16:00 jesteśmy z powrotem w Noumea. W hotelu gotujemy sobie obiad i jedziemy oglądać plaże w Noumea. Jak na miasto plaże są niezłe. Najbardziej podoba nam się Anse Vata. Za to na słynnej Baie de Citrones oglądamy zachód słońca. Wieczorem oddajemy samochód do wypożyczalni.

2007-07-28 Noumea->Auckland

Jemy śniadanie na tarasie, z którego rozciąga się ładny widok na miasto i port. Następnie jedziemy autobusem firmy CarSud na lotnisko. Autobus odjechał ponad 5 minut przed czasem, więc trzeba być wcześniej. Na lotnisku widzimy jak Nowozelandczyk wywozi z Nowej Kaledonii poroże jelenia, co wygląda bardzo zabawnie. Nasz samolot jest znowu opóźniony.

W Auckland nasz namiot przechodzi dezynfekcję i musimy go sami spakować. Nie jest tu za ciepło. Miłym akcentem jest, że na lotnisku dają darmową kawę i herbatę. Z lotniska jedziemy do Auckland autobusem Airbus. Wsiadamy pod wieżą SkyTower. Przez przypadek znajdujemy hostel Surf&Snow, w którym decydujemy się zostać, bo ceny w hostelach w Auckland są na tym samym poziomie. Wracamy do SkyTower i wjeżdżamy na wieżę widokową. Niestety już się ściemniło, ale widoki i tak są super. Najlepsze są szklane podłogi, pod którymi widać ruch uliczny. Na pulpitych dookoła wieży wypisane są nazwy miast z całego świata i odległości do nich. Do Warszawy jest stąd ponad 17 tys. kilometrów.

VANUATU

2007-07-29 Auckland->Port Vila (wyspa Efate)->Mt Yasur (wyspa Tanna)

Wstajemy o 4:00, żeby zdążyć na pierwszy autobus o 4:50 na lotnisko. W dzień nie było tak zimno, ale w nocy jest bardzo zimno. Widzimy za to dużo młodych wracających w letnich strojach z imprez. Dzięki temu, że byliśmy w Nowej Zelandii mniej niż 24 godziny nie musimy płacić departure tax.

Opóźnionym o godzinę samolotem przylatujemy na Vanuatu. Jak na poprzednich wyspach, turystów wita miejscowy zespół muzyczny. Na lotnisku chcemy kupić bilety lotnicze na przeloty na sąsiednie wyspy. Jednak jest niedziela i biuro jest zamknięte. Mogliśmy kupić te bilety w Nowej Kaledonii, ale baliśmy się, że będą droższe. I rzeczywiście udaje nam się znaleźć panią z biura, która sprzedaje nam bilety ze zniżką studencką 25%. Znowu można zabrać tylko 10 kg/os., więc zostawiamy jeden z plecaków w przechowalni na lotnisku. Kilka godzin później wylatujemy opóźnionym o godzinę samolotem Air Vanuatu na wyspę Tanna. Lecimy bardzo wysłużonym ATR-42, który rok temu z powodu usterek był na pół roku wycofany z lotów. Nic dziwnego, bo jest to największy samolot Air Vanuatu (mają jeden tego typu) i będziemy nim lecieć jeszcze 3 razy. Po przylocie okazuje się, że jesteśmy

chyba jedynymi osobami, które nie mają zarezerwowanego noclegu. Przyłączamy się do grupy turystów i jedziemy z nimi do Smile Lava Bungalows, prowadzonego przez miejscową rodzinę. Przez ponad godzinę przebijamy się na wschodnie wybrzeże przez szutrowe drogi w dżungli. Dostajemy bardzo prosty domek, w którym światło jest między tylko 18:00 a 19:00.

Jeszcze tego samego dnia idziemy z przewodnikiem (brat właściciela hotelu) i innymi turystami na wulkan Mt Yasur. Pod drzewem, przy drodze prowadzącej na wulkan siedzi człowiek sprzedający bilety. Opłata jest bardzo wysoka a człowiek wcale nie wygląda na biletera. Wszyscy jednak płacą, więc my też. Czujemy, że jesteśmy teraz chyba na największym odludziu podczas naszych wypraw. Wejście na wulkan zajmuje nam około godziny. U podnóża krateru znajduje się skrzynka pocztowa, reklamowana jako pierwsza na świecie poczta na wulkanie. Już od dawna słychać wybuchy wulkanu. Wchodzimy na najwyższą część krateru wulkanu, skąd widać środek krateru i kawałki lawy wyrzucanej kilkadziesiąt metrów w górę, spadające 100 m od nas. Jest tu w sumie około 10 osób, które oglądają wybuchy i czekają na zachód słońca. Po zachodzie słońca widoki są niezapomniane. Większy wybuch wulkanu jest co kilka minut. Czuć wtedy podmuch ciepłego powietrza i widać czerwone fontanny. Byliśmy na wielu wulkanach, ale po raz pierwszy widzimy takie coś. Pomimo tego, że robi się strasznie zimno, siedzimy tu jeszcze 30 minut po zachodzie słońca.

Zejscie z wulkanu zabiera nam około 40 minut. Na centralnym placu wioski stoi telewizor, przed którym siedzi połowa mieszkańców wioski. Na kolacje dostajemy ryż, kawałek kurczaka, warzywa i papaję na deser.

2007-07-30 Tanna

Większe wybuchy wulkanu było słychać w nocy w naszych domkach. Na śniadanie (posiłki w cenie noclegu) dostajemy tylko chleb z masłem. Dzisiaj jest 27 rocznica odzyskania niepodległości przez Vanuatu. W większych wioskach odbywają się festyny, na które ściągają miejscowi z okolicznych wiosek. W tej części wyspy festyn odbywa się na placu, na początku drogi na wulkan. Impreza zaczyna się o 10:00 uroczystym wniesieniem flagi. Korowód maszeruje dookoła placu. Następnie flaga, przy dźwiękach hymnu narodowego, jest wciągana na maszt. Na krzesłach przy fladze siedzi starszyzna z okolicznych wiosek. Po przemówieniu następuje koncert lokalnego zespołu a później zawody sportowe.

Po obiedzie idziemy do Sulphur Bay, gdzie jest wioska sekty John Frum. Miejscowi wierzą, że zbawiciel przybędzie do nich statkiem. Jesteśmy przecież na wyspie, więc ma to sens. Droga do wioski zajmuje nam trochę ponad godzinę. Po drodze przechodzimy z drugiej strony wulkanu Yasur, który posyła w naszą stronę siarkowy dym. Przy wejściu do wioski stoi pomnik z czerwonym krzyżem, który jest symbolem sekty. Większość młodych jest na festynie a w wiosce zostali tylko starsi. Poznajemy szefa wioski Izaaka. Nikt nie zna angielskiego, więc trudno się nam dogadać. Czas w wiosce leci bardzo powoli, nikt tu się nie spieszy, nic się tu nie dzieje. Oglądamy tutejszą plażę z wulkanicznym piaskiem. Za niewielką opłatą idziemy kąpać się w tutejszych gorących źródłach. Miejscowa kobieta robi w pobliżu pranie. Później kąpię się półnaga i pierze rzeczy, w które była ubrana. Wracając żegnamy się z szefem wioski i miejscowymi, dla których byliśmy chyba większą atrakcją niż oni dla nas. Po drodze mijamy ludzi, którzy właśnie wracają z festynu. Dowiadujemy się, że festyn zakończył się wcześniej, ponieważ drużyny grające w piłkę nożną pobiły się o to, kto wygrał. Podobno w ruch poszły także noże i maczety.

Wieczorem było rozdanie nagród. Za pierwsze miejsce w piłce nożnej nagroda 5000 watu, za kolejne worek ryżu, który jest tu głównym pożywieniem. Za pierwsze miejsce w konkursie strzelania z łuku był młotek. Brat właściciela naszego hotelu zabiera nas na kawę, czyli lokalny napój, który już próbowaliśmy wcześniej na Fiji. Podają go w lesie, przy

wiosce, chyba dlatego, żeby dzieci nie widziały. Wracamy do naszego hotelu, gdzie właściciel rozpałił ognisko. Nie ma tu za bardzo co robić, więc mamy wrażenie, że gospodarz próbuje zajmować czymś gości. Chciał też wiedzieć, gdzie dzisiaj idziemy, o której wrócimy. Powiedział, że jak nie wrócimy przed zmierzchem to wyśle swojego syna, żeby nas szukał.

2007-07-31 Tanna

Całą noc padało. Dzisiaj chcieliśmy iść do Port Resolution, ale cały czas pada. Po obiedzie jesteśmy umówieni z kierowcą, który ma nas zabrać na zachodnią część wyspy. Z powodu deszczu jedziemy dłuższą drogą, przez White Grass, która zajmuje prawie 2 godziny. Zatrzymujemy się w Lenakel w Ocean View, w samym centrum wyspy. W pobliżu są dwa sklepy i poczta z bankiem, do których przyjeżdżają ludzie z całej wyspy. Hotel był prowadzony przez małżeństwo Australijczyków, którzy sprzedali go po odzyskaniu niepodległości przez Vanuatu i wrócili do Australii. Od tego czasu dużo się tu nie zmieniło. Po starych właścicielach zostało dużo książek. Obecnie hotel jest bardzo zaniedbany i zatrzymują się tu głównie miejscowi. Dla nas najważniejszą rzeczą była publiczna kuchnia, gdzie mogliśmy przyrządzać sobie posiłki.

2007-08-01 Ipai (Tanna)->Yakel (Tanna)->Port Vila->Luganville (Espirito Santo)

Drugą najważniejszą atrakcją wyspy Tanna, za wulkanem Yasur, jest tradycyjna wioska Yakel. Od rana szukamy kierowcy, który zabierze nas do tej wioski. Większość kierowców chce za dużą cenę lub mówi, że z powodu deszczu droga jest nieprzejezdna. Spotykamy właściciela naszego poprzedniego hotelu Smile Lava, który jest tu na zakupach. On znajduje nam kierowcę, który zabiera nas do drugiej z polecanych przez przewodnik wiosek, do Ipai. Ipai jest bardzo komercyjne. Jest tu ścieżka dla turystów, na której próbuje się jedzenia w liściu kokosa i miejscowych przysmaków, ogląda rzucanie bambusowym kijkiem (ciekawe), rozpalanie ognia i miejscową grę. Na koniec są tańce, na które sygnałami dźwiękowymi zwoływana jest cała wioska. Tańce są najfajniejsze. Mężczyźni energicznie tupią, aż czuć, że ziemia drży.

Jesteśmy trochę zawiedzeni, ponieważ chcieliśmy zobaczyć tubylców noszących namba, czyli okrycie na penisa. Jednak dowiadujemy się, że takich możemy zobaczyć tylko w Yakel. Nasz kierowca, Alex, proponuje nam, że może spróbować dojechać do Yakel. Jak mu się nie uda to nie będziemy musieli nic za to płacić. Zgadza się. Droga jest rzeczywiście trudna i w jednym miejscu mamy wrażenie, że nie podjedziemy, ale w końcu się udaje. Po wyjściu z samochodu zauważamy domki zbudowane na drzewach. Bardzo chudy dziadek, ubrany jedynie w przepaskę na penisa jest naszym przewodnikiem po wiosce. Na znak ciepłego przyjęcia, młoda dziewczyna maluje nam na twarzy pomarańczowy krzyż. Używa do tego pestek nieznanego nam owocu. Koło nas zaczyna się kręcić dużo dzieci. Oglądamy chatę szefa wioski, którym jest ojciec naszego przewodnika. Magda zwiedza jeden z domków na drzewach. Tubylcy żyją bardzo prosto i ubogo. Słyszymy także bębnienie, które zwołuje mężczyzn z wioski na pokaz lokalnych tańców. Gdy wracamy wszyscy już są na głównym placu. Kobiety ubrane jedynie w spódnice z trawy, mężczyźni w nambas, z gołymi tyłkami. Oglądamy pokaz tańca, podobny do tego, który widzieliśmy w Ipai. Jeden z mężczyzn mówi płynnie po angielsku (wrócił tu po studiach) i uczy innych. Oglądamy także zdjęcie miejscowych u księcia Filipa w Anglii. Mówią, że bardzo źle czuli się w garniturach, które musieli wtedy ubrać. Obecnie wioska jest pod patronatem ambasady angielskiej. Dowiadujemy się także, że można tu przyjechać i zamieszkać w wiosce (za darmo) w domach na drzewie. Niedawno wyprowadzili się Belgowie, którzy spędzili tu kilka miesięcy. Na pożegnanie tubylcy mówią nam, żebyśmy pozdrowili królową angielską, jak już będziemy w

Europie. Obok plemion w dolinie Omo w Etiopii, jest to najodleglejsze kulturowo miejsce, w którym byliśmy, ale aż chce się tam wrócić.

Po powrocie robimy sobie obiad i jedziemy lokalnym transportem na lotnisko. Lecimy na Efate, skąd trochę później, tym samym samolotem, lecimy na wyspę Espiritu Santo. Po przylocie lokalnym minibusem jedziemy do Luganville. Pojawiły się drogi asfaltowe. Luganville to już nie jest wioska jak na wyspie Tanna, ale małe miasteczko. Są tu 4 bankomaty i kilkanaście sklepów, wszystkie należące do Chińczyków. Znajdujemy nocleg w Asia Motel i odpoczywamy po intensywnym dniu.

2007-08-02 Luganville->Matevulu Blue Hole->Lonnoc Beach

W nocy o 4:08 budzi nas trzęsienie ziemi. Kilka minut później jest drugie, mniejsze. Cały nasz pokój się trząsł, ale nic nam się nie stało. Jedynie ze stołu spadł wiatrak i się lekko uszkodził. Jak się później dowiedzieliśmy trzęsienie miało siłę 7.2 stopnia w skali Richtera. Ostatnie trzęsienie ziemi było tu w latach 90-tych. Rano wszystkie sklepy były zamknięte, bo pospadał towar z półek.

Chcemy zwiedzić najważniejsze atrakcje wyspy Espiritu Santo, ale w Luganville nie ma biur podróży. Dzwonimy do Paradise Tours i spotykamy się z jego przedstawicielem. Umawiamy się na wycieczkę do blue hole, Million Dollar Point i miejsca rozbicia amerykańskiego samolotu podczas II wojny światowej. Wycieczka trwała tylko 2 godziny i nie za bardzo nam się udała, ponieważ z powodu dużych fal nie można było robić snorklingu przy Million Dolar Point, gdzie Amerykanie wrzucili do wody sprzęt wojskowy. Blue hole (błękitne jezioro) było za to błotniste z powodu trzęsienia ziemi.

O 15:00 idziemy na stację Shell, skąd odjeżdżają minibusy do Port Orly. My jedziemy trochę bliżej do Lonnoc Beach, gdzie zrobiliśmy wcześniej rezerwację. Na miejscu dostajemy mały domek, blisko małej, czystej plaży. Przed zachodem słońca pływamy jeszcze w ładnym morzu. Okazuje się, że prąd jest tu tylko wieczorem i to na bardzo krótko.

2007-08-03 Lonnoc Beach->Champagne Beach->Lonnoc Beach

Po śniadaniu, które jest w cenie noclegu, idziemy na sąsiednią Champagne Beach, opisywaną jako najładniejsza plaża na Vanuatu. Plaża jest prywatną własnością i musimy zapłacić za wstęp. Plaża jest rzeczywiście ładna, ale trochę zaniedbana. Do wody wchodzi się po białym, czystym piasku, bez kamieni. Z boku plaży wychodzi molo, przy którym jest rafa i można robić snorkling. Dookoła plaży jest dżungla. Oprócz nas są tu jeszcze 4 osoby, które przyjechały samochodem i szybko wyjeżdżają. Przez jakiś czas mamy plażę tylko dla siebie, ale później znowu zjawiają się kolejni turyści. Na plaży pojawiają się także krowy, które pasły się na pobliskiej łące. Prawie cały dzień spędzamy na Champagne Beach. Po południu pogoda się pogarsza, przychodzą chmury. Wieczorem jemy obiadokolację w naszym hotelu. Po wyspie Tanna jesteśmy zaskoczeni bardzo dobrym jedzeniem. Umawiamy się na śniadanie o 6:00, ponieważ o 6:30 ma po nas przyjechać minibus do Luganville.

2007-08-04 Lonnoc Beach->Luganville->Port Vila

Kucharka zasnęła i dostajemy śniadanie później. Przyjeżdża minibus, ale kierowca czeka spokojnie aż skończymy śniadanie. Około 8:00 jesteśmy już w Luganville. Chcieliśmy jechać do Millenium Cave, ale słyszeliśmy, że może być zamknięta z powodu trzęsienia ziemi. Decydujemy się popłynąć na prywatną wyspę Aore, gdzie można przebywać w luksusowym hotelu Aore Island Resort, pod warunkiem wykupienia obiadu. Leżakujemy, pływamy w basenie, robimy snorkling na rafie blisko hotelu. Później idziemy na bardzo drogi, ale i bardzo smaczny obiad. Później płyniemy z powrotem do Luganville, skąd jedziemy lokalnym busikiem na lotnisko. Na lotnisku wielkie przygotowania, bo jutro ma tu wylądować pierwszy Boeing 737 zakupiony przez Air Vanuatu, który będzie latał do Brisbane w Australii. My

lecimy na wyspę Efate, do stolicy Vanuatu, Port Vila. Na miejscu łapiemy minibusa, który rozwozi ludzi pod wskazany przez nich adres jak taksówka. Znajdujemy nocleg i idziemy zwiedzać Port Vila. Miasto jest małe, ale ładnie położone. W pobliżu znajdują się małe wysepki na które można popłynąć za darmo promem.

AUSTRALIA

2007-08-05 Port Vila->Auckland->Sydney

Po śniadaniu jedziemy na lotnisko i lecimy do Auckland. Mamy tu trochę czasu, więc czytamy przewodnik Lonely Planet Australia. Spisujemy sobie noclegi i transport z lotniska. Okazuje się to niepotrzebne, ponieważ po przylocie do Sydney, znajdujemy darmowe mapy miasta, ulotki ze zniżkami na różne atrakcje. Jest także darmowy telefon do wszystkich hosteli w mieście. Ceny są bardzo podobne. Wybieramy Boomerang Backpackers. Jak zostaje się tam minimum 3 noce to odbierają z lotniska za darmo. Dzwonimy do hostelu i po 30 minutach ktoś po nas przyjeżdża. Pokój w hostelu wygląda dokładnie jak ten w hostelu, w którym byliśmy w Auckland i tak samo, jak na zdjęciach innych hosteli w Sydney. Robimy sobie wieczorny spacer po mieście, jednak szybko wracamy, bo po zachodzie słońca robi się zimno.

2007-08-06 Sydney

Zaraz po śniadaniu (w cenie hotelu, płatki z mlekiem + tosty z dżemem) idziemy zwiedzać miasto. Zaczynamy od Australian Muzeum z dużą kolekcją zwierząt, owadów i minerałów. Następnie przechodzimy przez Chinatown i idziemy do Powerhouse Museum, w którym oglądamy m.in. kopie sond kosmicznych oraz stary pociąg. Następną atrakcją jest ładny Chinese Garden z jeziorkiem, otoczony wieżowcami. W Darling Harbour trafiamy akurat na międzynarodowy pokaz jachtów. Dochodzimy do największej atrakcji Sydney, czyli Sydney Opera. Obchodzimy ją dookoła, zaglądamy do środka (można kupić zwiedzanie opery z przewodnikiem). Opera wygląda lepiej z daleka, o czym przekonujemy się wchodząc na Harbour Bridge. Jest już wieczór a my postanawiamy zakończyć nasze zwiedzanie pójściem do Sydney Aquarium. Oglądamy tam dużo rybek z całego świata, ale największą atrakcją są przezroczyste tunele pod wodą, w których ogląda się duże zwierzęta morskie. W tunelu czujemy się jak na filmie przyrodniczym. Jest tu bardzo cicho i spokojnie a dookoła nas przepływają ogromne rekiny i płaszczyki. Następnie idziemy na obiadokolację i wracamy do hostelu. Sydney jest ładnym miastem, ciekawie położonym nad wodą, z dużą ilością zieleni i parków.

2007-08-07 Sydney->Featherdale Wildlife Park->Sydney

Po śniadaniu kupujemy Train Pass i jedziemy metrem do centrum. Idziemy do Ms Macquire Point w Royal Garden, skąd przed południem jest bardzo dobry widok na operę z Harbour Bridge w tle. Potem jedziemy metrem do Blacktown, a stamtąd autobusem do Featherdale Wildlife Park. Jesteśmy około 50 km od centrum Sydney. W Featherdale Wildlife Park wykorzystujemy kupon promocyjny, gdzie druga osoba wchodzi za darmo. Wildlife Park to rodzaj zoo, w którym można chodzić między zwierzętami a także dotykać niektóre zwierzęta. Są tu zwierzęta z całej Australii jak strusie, dingo, krokodyle, diabły tasmańskie, whombat, latające lisy, malutkie pingwiny. Najciekawsze są jednak biegające wolno kangury oraz misie koala, z którymi można sobie zrobić zdjęcie a nawet się do nich przytulić (pod czujnym okiem opiekuna). Misie koala mają bardzo mięciutkie futerko. Najbardziej zdziwiliśmy się oglądając kangury-albinosy. Trafiliśmy także na karmienie dingo, pingwinów oraz latających lisów, które jadły owoce wisząc w powietrzu. Na sam koniec oglądamy strusia, który biega po największym placu i budzi popłoch wśród turystów. Wildlife Park bardzo nam się podobał, poczuliśmy tu klimat prawdziwej Australii.

W Wildlife Park byliśmy kilka godzin, dłużej niż się spodziewaliśmy, dlatego wróciliśmy do Sydney dopiero przed zachodem słońca. Z Circular Quay płyniemy promem (w cenie Train Pass) do Taronga Zoo, tylko po to żeby przepłynąć obok opery i Harbour Bridge. Podświetlona opera i most wyglądają nawet lepiej niż za dnia. Na kolację idziemy do Pizza Hut, gdzie bierzemy zestawy typu „jedz ile chcesz” i obżeramy się do syta. Dzień kończymy robiąc zdjęcie ogromnej reklamie Coca-Cola na Kings Cross, z której słynie ta dzielnica. Po drodze kupujemy bilet na shuttle bus na lotnisko.

MALEZJA

2007-08-08 Sydney->Singapore->Penang

Wstajemy o 7:00, bo o 7:50 ma być shuttle na lotnisko z przystanku obok naszego hostelu. Po 40 minutach czekania idziemy na Kings Cross, gdzie jest główny przystanek shuttle. Około 8:40 łapiemy shuttle, ale okazuje się, że jeździ on jeszcze odbierać ludzi, których później rozwiezie na lotnisko. Na lotnisku jesteśmy dopiero około 9:40. Myśleliśmy już, że nie zdążymy na samolot o 10:35, ale okazało się, że źle przeczytaliśmy godzinę odlotu i odlot jest o 11:30. Mamy jeszcze czas na śniadanie, przeczytanie kilku informacji o Singapurze i skorzystania z darmowego internetu. Tym razem lecimy Singapore Airlines. Zadziwiają nas stewardesy, noszące ładne, stylowe, azjatyckie ubrania oraz obsługa. Pierwszy raz w samolocie (i to w ekonomicznej klasie) dostajemy kartę dań z trzema zestawami obiadowymi do wyboru i wyborem napoi. Panie podczas lotu kilka razy pytają nas, czy nie chcemy czegoś do picia. Może to dlatego, że samolot jest w połowie pusty. Jedzenie jest całkiem niezłe, jak na samolot. Na deser dostajemy loda Solero z Algidy. Każdy fotel ma też własny telewizorek, na którym można oglądać różne filmy. Wyglądamy też przez okno, bo jest super widoczność. Australia z góry to czerwona ziemia, pustynie, rzeki i brak jakichkolwiek miast. Później lecimy na Indonezję. Widzimy wyspę Bali z wulkanem Gunung Agung, gdzie będziemy za miesiąc. Przed Singapurem przekraczamy samolotem równik.

W Singapurze jedziemy metrem do centrum, na Lavender Station, z okolic której będziemy jechać do Malezji. Zostawiamy plecaki w firmie przewozowej, idziemy na obiad, kupujemy owoce. Jak byliśmy tu trzy lata temu wydawało nam się bardzo drogo, ale po wyspach Pacyfiku już tak nie jest. O 8:30 wyjeżdżamy luksusowym autokarem, z 26 rozkładanymi siedzeniami do Penang w Malezji. Autobus zarezerwowaliśmy przez internet, miesiąc wcześniej. Na granicy widzimy dziesiątki autobusów jadących z i do Malezji. Drogi w Malezji są super, cały czas jedziemy autostradami. W nocy przejeżdżamy przez Kuala Lumpur.

2007-08-09 Penang (Kek Lok Si Temple)

Około 8:00 rano wjeżdżamy długim mostem na wyspę Penang. Na miejscu okazuje się, że nie ma gdzie wymienić, albo skąd wypłacić pieniędzy, bo dworzec autobusowy jest poza centrum. Z pomocą przychodzą nam osoby z naszego autobusu, które dają nam 20 rigitów na dojazd do centrum. Chcemy im oddać równowartość w dolarach, ale nic od nas nie chcą. Jedziemy autobusem do George Town na ulicę Lebu Chulia, gdzie jest dużo hosteli. Zatrzymujemy się w Blue Diamond Hotel. Po śniadaniu idziemy do portu kupić bilet do Belawan w Indonezji. Okazuje się, że juro (w piątki) promy nie płyną i musimy płynąć w sobotę lub lecieć samolotem. Następnie jedziemy autobusem 203 do Kek Lok Si Temple, czyli największej buddyjskiej świątyni w Malezji. Już z przystanku widać okazały kompleks świątyni z wyróżniającą się pagodą. W środku świątynia jest ładna i bardzo interesująca. Okazuje się, że świątynia posiada także chińskie i hinduskie akcenty. Jest to jedna z najciekawszych atrakcji w Malezji.

Po wyjściu ze świątyni idziemy na targ, gdzie można kupić egzotyczne owoce i wypić soki z nich. Po powrocie do George Town idziemy na kolację. Magda zamawia quesadillę, którą przyrządza rodowity Meksykanin.

2007-08-10 Penang (Buta Farringhi)

Po śniadaniu jedziemy autobusem 101 na plażę Buta Farringhi. Ma to być najlepsza plaża na wyspie, ale jest taka sobie. Jesteśmy powyżej równika i jest tu bardzo gorąco, dużo cieplej niż na wyspach południowego Pacyfiku. Ciężko wytrzymać na plaży a fale są tak duże, że nie można pływać (czerwona flaga). Po dwóch godzinach wracamy do George Town. Po drodze zwiedzamy całkiem interesującą Dragon Temple. Idziemy na kolację do chińskiej restauracji, gdzie jemy pizzę. Jest piątek wieczorem i w nocy przed naszym hotelem jest koncert, który kończy się po 2:00 rano.

INDONEZJA

2007-08-11 Penang->Medan->Bukit Lawang

O 9:00 wypływamy do Belawan w Indonezji. Nieźle trzęsie, próbujemy spać. Płyniemy około 7h. W Belawan kupujemy wizę 30-dniową on arrival. Już w przewodniku czytaliśmy, że port w Belawan to raj dla oszustów. Miejscowi ludzie także nas ostrzegają. Naganiacze proponują nam przejazd z innymi turystami do Bukit Lawang za 50000 rupi/os. Decydujemy się jechać zwykłym autobusem, z miejscowymi do Medanu a stamtąd złapać autobus do Bukit Lawang. W Medanie wymieniamy pieniądze i minibusem numer 64 jedziemy na dworzec autobusowy. Tam się okazuje, że w weekendy nie ma autobusu o 18:00 i ostatni autobus już odjechał. Proponują nam wynająć samochód z kierowcą. Po targach zgadzamy się na 250000 rupi dzielone na cztery osoby, ponieważ inna para znalazła się w tej samej sytuacji. Widzimy jak naganiacze dostają prowizję od kierowcy.

Do Bukit Lawang jest tylko 96 km, ale droga jest straszna (dziury jak kraterzy tutejszych wulkanów) i jedziemy tam 3 i pół godziny. Po drodze mijamy kilka miejscowych wesel. Kierowca opowiada, że większość małżeństw powstaje w wyniku wpadki (marriage by accident). Pod koniec jazdy łapiemy gumę, może dlatego, że nasz kierowca jedzie tędy pierwszy raz, ale i tak dojeżdżamy do Bukit Lawang. Znajdujemy nocleg i wynajmujemy przewodnika na jednodniowy trekking. Ceny są ustalone przez zrzeszenie przewodników i nie negocjowalne. Za to w cenie są obiad i owoce.

2007-08-12 Bukit Lawang

Wstajemy o 6:50, żeby przed 8:00 wyruszyć na trekking. Po drodze spotykamy makaki i małpy Thomasa. Przewodnik pokazuje nam jak się uzyskuje gumę z drzew, a następnie zabiera na poranne karmienie orangutanów. Przychodzą dwa dorosłe samice i jeden mały. Orangutany są piękne, ogromne, z rudawo-brązowym futrem. Małpy są karmione mlekiem z proszku i bananami. Następnie idziemy szukać w dżungli dzikich i półdzikich (karmionych przez ludzi) orangutanów. Spotykamy dwa półdzikie orangutany, które właśnie były karmione przez innych turystów, co jest zabronione. Potem idziemy głębiej w dżunglę i przez trzy godziny nie spotykamy niczego. Czasami chodzimy po krzakach, żeby ominąć jakąś przeszkodę. Nie widzimy także innych turystów.

Prosimy przewodnika, żebyśmy wrócili do wejścia do parku, gdzie prawdopodobnie są inne grupy turystów. Po drodze spotykamy dwa dzikie orangutany. Przyglądamy się im jak chodzą po wierzchołkach drzew. Następnie schodzimy do kwarantanny, gdzie trzymane są chore orangutany. Przychodzą tam też makaki. Potem idziemy na popołudniowe karmienie. Jest tu około 20 osób, czyli wszyscy, którzy wybrali się dzisiaj na jednodniowy trekking. Tym razem przychodzi około pięć orangutanów, dwa na samym końcu, jak niektórzy turyści już poszli. Wracamy dłuższą drogą, przez dżunglę i na sam koniec spotykamy jeszcze dwa

półdzikie orangutany. Podobno mieliśmy szczęście, bo zwykle turyści widzą przez cały dzień tylko 5-6 orangutanów. Spotkaliśmy ludzi, którzy poszli na kilkudniowy trekking i widzieli mniej niż my.

Na trekking dobrze wziąć ze sobą dużo wody, bo bardzo chce się pić. Przewodnicy karmią orangutany, tylko jak im turyści na to pozwalają. Bez karmienia orangutany siedzą na wierzchołkach drzew i nie podchodzą do turystów. W czasie, gdy jemy kolację jeden orangutan podchodzi aż pod nasz hotel i je duriana na pobliskim drzewie.

2007-08-13 Bukit Lawang->Tuk Tuk (Jezioro Toba)

Wczoraj wieczorem umówiliśmy się z Holendrami na wspólny przejazd minibusem (żeby było taniej) do Danau Toba, ponieważ publicznymi środkami transportu ciężko tam dojechać w jeden dzień, bo są aż trzy przesiadki. Wyjeżdżamy o 7:45, po śniadaniu. W Medanie jesteśmy około 11:30. Wymieniamy pieniądze i kupujemy przelot z Medanu do Yogyakarta (przez Jakartę) za kilka dni. Później jedziemy dalej w kierunku Jeziora Toba, gdzie jesteśmy po 16:00. Ludzie w Indonezji jeżdżą strasznie, widzieliśmy po drodze wypadek. Drogi są asfaltowe, ale strasznie zatłoczone przez motocykle, wózki, konie. Jeździ się z średnią prędkością 30 km/h.

Ostatni prom do Tuk Tuk odpływa o 18:00, więc w tym czasie załatwiamy transport powrotny do Medanu. Chodząc po pobliskich biurach udaje nam się zejść do ceny dwa razy niższej niż początkowa. Płyniemy promem na Tuk Tuk na wyspie Samosir i zostajemy w Samosir Cottages. Hotel jest luksusowy a przy tym bardzo tani. Właściciele odbijają sobie na drogim jedzeniu w restauracji, które jest wyśmienite (szczególnie ryba w sosie pomidorowo-warzywnym).

2007-08-14 Tuk Tuk->Ambarita->Museum Huta Bolon Simanindo->Hot Springs->Tomok->Tuk Tuk

Na śniadanie idziemy do Regae Guest House, który jest ładnie położony na klifie. Dostajemy ogromny i smaczny zestaw śniadaniowy. Wiemy, że ciężko się jest poruszać po wyspie, więc postanawiamy wypożyczyć motor na cały dzień. W Indonezji nie trzeba mieć prawa jazdy na motor. Nigdy nie prowadziłem motoru, ale darmowa lekcja jazdy na motorze przebiega szybko i sprawnie. Płacimy z góry i bez jakichkolwiek formalności dostajemy kluczyki. Właściciel nawet nie wie jak się nazywamy, ale wierzy, że wieczorem oddamy mu jego motor.

Na początku jedziemy do Ambarita, gdzie zwiedza się tradycyjne domy Bataków oraz kamienne krzesła, na których kiedyś obradowała starszyzna. Siedzimy na 500 letnich krzesłach, które u nas byłyby muzealnym eksponatem. Przewodnik ciekawie opowiada o Batakach, którzy obecnie są chrześcijanami, ale kiedyś byli kanibalami. Skazanych na śmierć zjadała starszyzna i mieszkańcy wioski. Następnie jedziemy do Huta Bolon Simanindo, gdzie oglądamy domy króla Bataków i jego świąty. Codziennie odbywają się tu pokazy tańców i walk, ale jesteśmy zbyt późno. Później jedziemy do hot springs. Są dwa baseny, lepszy dla turystów i drugi dla miejscowych. Woda jest bardzo gorąca, że trudno wysiedzieć. Może dlatego nie ma tu żadnych turystów.

Wracamy. Po drodze tankujemy na jednej z wielu tutejszych mini-stacji, którymi są butelki z benzyną stojące przy drodze. Codziennie, także dzisiaj, na Sumatrze po 16:00 zaczyna padać deszcz. Zatrzymujemy się w lokalnej knajpie (warung) na obiad. Próbujemy wrócić do Tuk Tuk, ale mamy ponad 20 km do przejechania. Zatrzymujemy się kilka razy i ruszamy jak deszcz jest mniejszy. Pod wieczór docieramy cali mokrzy do Tuk Tuk. Postanawiamy jeszcze zwiedzić przed zachodem słońca grób króla Sidabutara. Później wracamy do hotelu, przebieramy się w suche ubrania i idziemy na kolację do jednej z wielu tutejszych restauracji. Jedzenie jest znów wyśmienite (ryba z grila). Jesteśmy zdziwieni,

ponieważ myśleliśmy, że będziemy musieli w Indonezji jeść cały czas ryż z różnymi dodatkami. Przed snem asekuracyjnie bierzemy leki na przeziębienie.

2007-08-15 Tuk Tuk->Parapat->Medan->Jakarta->Yogjakarta

Po śniadaniu zamówionym wczoraj wieczorem wypływamy pierwszym promem o 7:00 do Parapat. W porcie są piękne lilie wodne. Rybacy sprzedają świeżo złowione ryby a miejscowe kobiety robią pranie w jeziorze. Po drugiej stronie jeziora czeka na nas umówiony transport do Medanu. Po drodze widzimy dwa wypadki, w tym jeden śmiertelny. W niektórych miejscach przy drodze na podestach stoją wraki samochodów, które mają być ostrzeżeniem dla kierowców. Nasz kierowca też wyprzedza pod prąd i prosimy, żeby zwolnił. Na lotnisku jesteśmy około dwie godziny przed wylotem. Obiad jemy w KFC. Zestawy są tanie, ale małe. Można też zamówić zestaw z ryżem.

Wylatujemy z godzinnym opóźnieniem, ale na lotnisku widać, że to normalne dla lotów krajowych. W samolocie podają jedynie wodę do picia. W Jakarcie przesiadamy się na następny samolot, który zabiera nas do Yogjakarty, ponieważ uznaliśmy, że stolica nie jest zbyt interesująca. Po przylocie musimy wziąć taksówkę, bo nie mamy jak się dostać do centrum. Tak jak miejscowi, kupujemy kupon na taksówkę, którego cena zależy od części miasta, do której jedziemy. Wzięcie taksówki z ulicy może się skończyć problemami i zawyżoną ceną. Jedziemy do centrum, w okolice ulicy Sosrowijayan, gdzie jest najwięcej tanich hoteli.

2007-08-16 Yogjakarta->Prambanan->Borobudur->Yogjakarta

Po śniadaniu jedziemy becakiem (tak tu nazywa się riksza, trójkołowy wózek napędzany siłą nóg) do Kratonu, pałacu sułtana. Pałac składa się z małych, parterowych zabudowań oraz dużej ilości otwartej przestrzeni. Nie wygląda zbyt okazale, ale w środku znajduje się wiele różnych pamiątek związanych z sułtanem i jego rodziną. Sułtan nie nosi korony, ale za to ma sztucznie wydłużone, odstające uszy, co pewnie jest znakiem szlachectwa. Jednej z części pałacu nie wolno zwiedzać i podobno tam mieszka obecny sułtan.

Następnie jedziemy autobusem nr 4 na dworzec autobusowy, skąd jedziemy do Prambanan. Po 45 minutach jesteśmy na miejscu. Około 15 minut idziemy do bramy wejściowej. Kupujemy bilety i idziemy zwiedzać. Prambanan to kompleks bardzo starych hinduskich świątyń. Architektonicznie przypomina nam trochę Angkor Wat, które jest dużo większe. Świątynie zostały częściowo zniszczone podczas trzęsienia ziemi w 2006 roku. Wcześniej można było chodzić między budowlami, ale obecnie wszystko jest ogrodzone i można oglądać tylko z daleka.

W powrotną stronę mamy pecha, bo trafiamy na autobus, który jedzie dłuższą drogą do Yogjakarty i zatrzymuje się we wszystkich wioskach. Pytaliśmy pasażerów, czy to dobry autobus, ale nikt nie znał angielskiego. Po półtorej godziny jesteśmy w Jakarcie, skąd łapiemy kolejny autobus do Borobuduru. Jedziemy tam godzinę i 10 minut i boimy się, że możemy nie zdążyć. Na miejscu bierzemy beca, aby nie szukać drogi i żeby było szybciej. Jesteśmy o 16:50, czyli 10 minut przed zamknięciem kasy.

Borobudur to buddyjska świątynia z dziewiątego wieku. Na szczycie znajdują się 72 dzwony (stupy), w których zamknięte są posągi siedzącego Buddy. Jedna ze stup jest odsłonięta pokazując postać siedzącego Buddy. Świątynia robi na nas ogromne wrażenie, zwłaszcza, że jesteśmy tu na zachód słońca. Po zachodzie słońca strażnicy wyganiają wszystkich turystów. Na dworcu autobusowym okazuje się, że nie ma już autobusów do Yogjakarty. Miejscowi proponują nam podwiezienie nas dwoma motorkami do skrzyżowania z główną drogą i złapanie dla nas autobusu. Okazuje się, że nie mamy wyjścia i po uzgodnieniu ceny zgadzamy się. Łapiemy autobus do Yogjakarty, gdzie sytuacja się

powtarza, bo nie jeżdżą już miejscowe autobusy. Taksówkarz chce za dużo, więc znowu jedziemy dwoma motorkami do naszego hotelu.

Mogliśmy kupić w biurze turystycznym wycieczkę do Prambanan i Borobudur, która była w podobnej cenie jak podróżowanie na własną rękę, ale za późno wstaliśmy. Kupujemy za to wycieczkę (z jednym noclegiem) na wulkan Bromo, z transferem na Bali w drodze powrotnej.

2007-08-17 Yogjakarta->Probolingo->Cemoro Lawang

O 9:00 wyjeżdżamy minibusem w stronę Probolingo. Większość turystów tak podróżuje, bo inaczej trasa może zająć więcej niż jeden dzień. Po drodze oglądamy wspaniałe wulkany. Zatrzymujemy się także na obiad. Wieczorem jesteśmy w Probolingo, gdzie przedstawiciel biura informuje nas, że droga do Cemoro Lawang, skąd wchodzi się na wulkan Bromo, jest nieprzejezdna. Mówi coś o krowie na drodze a później o wypadku samochodowym. Proponuje nam nocować w Probolingo i wcześniej rano (2:00 w nocy) jechać do Cemoro Lawang. W przewodniku pisze, że w tym mieście często próbuje się oszukać turystów w ten sposób. Wraz z innymi turystami nie zgadzamy się na to i jedziemy do Cemoro Lawang. Oczywiście droga jest przejezdna.

Nocujemy w drogin hotelu Bromo Permai I, który był w cenie wycieczki. Jesteśmy już wysoko w górach i jest tu strasznie zimno. Hotel nam się podoba i ma ciepłą wodę, która jest tu potrzebna. Razem z innymi turystami chcemy wynająć samochód terenowy, który zabierze nas na punkt widokowy na wulkan Bromo i pod sam wulkan. W miasteczku wszystko jest już zamknięte i musimy wynająć samochód z naszego hotelu.

2007-08-18 Cemoro Lawang->Mt Bromo NP->Probolingo->Denpasar

Wstajemy o 3:00, żeby o 3:30 wyjechać. Najpierw wjeżdżamy na piaszczystą pustynię. Później krętą, wąską drogą wjeżdżamy na górę Penanjakan (2770 m.n.p.m.). Widzimy dziesiątki samochodów jadących za nami. Przed nami przyjechało już ze 30-40 samochodów. Na punkcie widokowym jest już straszny tłok, jest tu ze 300-400 osób. Większość turystów to Indonezyjczycy. Jest bardzo zimno. Około godziny czekamy na wschód słońca. Przed nami rozpościera się wspaniały widok na wulkany Bromo, Batok oraz w tle Semeru, najwyższa góra na wyspie Jawie. Po 30 minutach pojawiają się chmury, które zasłaniają cały widok. Pijemy gorącą herbatę, żeby się ogrzać. Następnie zjeżdżamy samochodem na piaszczystą pustynię i podjeżdżamy pod wulkan Bromo. Aby dojść na krater wulkanu, wspinamy się po 250 stopniach. Później chodzimy po kraterze wśród siarczanego dymu. Z najwyższej części krateru oglądamy wspaniałą panoramę sąsiednich gór i wulkanów.

Około 9:00 wracamy do hotelu, gdzie jemy śniadanie. Następnie jedziemy do Probolingo, skąd o 13:00 mamy autobus do Denpasar. Autobus jest zwykły, rejsowy, ale biuro podróży kupuje nam bilet. Po drodze zatrzymujemy się na obiad, który jest w cenie przejazdu. Następnie przepływamy promem na Bali i około północy jesteśmy w Denpasar. Razem z inną parą turystów bierzemy taksówkę, która zabiera nas do Kutuy. Szukamy noclegu, ale jest sobota i wszystko jest zajęte. Musimy wziąć drogi pokój z klimatyzacją w Berlian Inn.

2007-08-19 Denpasar->Maumere->Moni

Już w Yogjakarcie próbowaliśmy kupić bilety lotnicze na Flores, co bardzo ułatwiłoby nasze dalsze podróżowanie. Mówiono nam, że wszystko wykupione na następne dwa tygodnie. Dzisiaj dowiedzieliśmy się, że niektórzy ludzie mają rezerwacje, które usuwane są w dzień wylotu. Dzięki temu udało się nam kupić bilet do Maumere. Wylot jest za niecałe trzy godziny. Wolny czas wykorzystujemy robiąc rezerwację hotelu na noc przed naszym

wylotem do Malezji. Idziemy także na Kuta Beach. Plaża jest taka sobie, ciemny piasek i nie ma palm. Podobno są tu za to rewelacyjne warunki do surfowania. Fale rzeczywiście są duże i widzimy dziesiątki ludzi surfujących albo uczących się surfować. Później jedziemy lokalnym transportem na lotnisko. Na Flores lecimy liniami Merpati, samolotem Fokker F-28 Fellowship. Jest to jeden z najgorszych samolotów jakimi lecieliśmy, luki bagażowe się same otwierają a z klimatyzacji cieknie woda.

W Maumere bierzemy taksówkę na dworzec autobusowy, ponieważ chcemy jeszcze dzisiaj dojechać do Moni. Jest niedziela i ostatni autobus już pojechał, więc po targach jedziemy do Moni współdzieloną taksówką. W Moni jesteśmy po trzech godzinach. Jest już noc a w mieście tylko jeden hotel ma prąd elektryczny. Oglądamy inne hotele, ale zostajemy w tym z prądem. Podobno autobus dowożący turystów na Keli Mutu się zepsuł, dlatego wspólnie z Francuzami wynajmujemy samochód, który zabierze nas jutro na Keli Mutu.

2007-08-20 Moni->Keli Mutu->Moni->Bajawa

Wyjeżdżamy o 4:30, żeby na Keli Mutu być przed wschodem słońca. Z parkingu idziemy około pół godziny na główny punkt widokowy. Po wschodzie słońca chmury odsłaniają się tylko na 5 minut i widzimy dwa jeziora, turkusowe i brązowe. Czekamy z innymi turystami, ale pogoda jest kiepska. Idziemy w dół, nad klif, przy którym jest turkusowe jezioro. Widok jest lepszy niż z punktu widokowego, ale żadnych rewelacji. Większość turystów już zrezygnowała i wróciła na parking. Gdy podchodzimy w stronę punktu widokowego, około 8:30, pogoda się poprawia, przejaśnia się. Teraz widoki są najlepsze, dużo lepsze od tych po wschodzie słońca. Po raz pierwszy widać trzecie, czarne jezioro, przy którym widzimy także okrągłą tęczę. Wracając na parking mijamy cały autokar turystów. Przyjechali w najlepszym momencie a my zastanawiamy się czy codziennie o tej godzinie się przejaśnia. Dzisiaj nie było warto wstawać na wschód słońca, ale nie wiemy, czy tak jest codziennie.

Spieszymy się, ponieważ dowiedzieliśmy się, że autobus z Maumere do Bajawa przejeżdża przez Moni codziennie między 10:00 a 11:00. Około 10:00 wracamy do hotelu, gdzie jemy śniadanie i spakowani czekamy na autobus. Około 10:45 mija nas autobus do Bajawa, ale jest pełny i się nie zatrzymuje. Myślimy o pojechaniu minibusem (bemo) do Ende, ale stamtąd możemy mieć problem ze znalezieniem transportu do Bajawa. Nasze problemy rozwiązuje drugi autobus do Bajawa, który przyjeżdża po 11:00. W Bajawa jesteśmy o 17:30. Okazuje się, że wszystkie hotele są pełne, bo jest jakiś zjazd dla Indonezyjczyków. W końcu znajdujemy miejsce w Elizabeth Hotel. Na kolejną noc robimy sobie rezerwację w lepszym hotelu, Edelweis.

2007-08-21 Bajawa->Luba->Bena->Bela->Wogo->Mangeruda Hot Springs->Bajawa

Rano przeprowadzamy się do Edelweis. Następnie wypożyczamy motor i jedziemy zwiedzać tradycyjne wioski. Zaczynamy od wioski Luba. Wpisujemy się do książki gości i wpłacamy darowiznę. Oglądamy drewniane domy, przykryte strzechą i nagrobki w centrum wioski. Na szczycie domów są męskie lub żeńskie kukiełki. Kobiety żują jakieś liście, które powodują, że mają czerwone zęby. Następnie jedziemy do Bena, w której domki ustawione są ciasno, w dwóch rzędach. Dowiadujemy się, że ilość bawolich rogów przed domem jest wyznacznikiem bogactwa. Na końcu wioski jest wzniesienie, z którego widać doskonałą panoramę okolicy. Droga powrotna do Bajawa jest trudniejsza, bo jest bardzo stromo po górkę. Wracając do Bajawa, zatrzymujemy się w wiosce Bela, w której nie ma nic specjalnego. Później odwiedzamy jeszcze wioskę Wogo, która jest największa. Mieszkańcy właśnie budują nowe domy, które są już bardziej nowoczesne. Pod wieczór jedziemy na północ, wykąpać się w gorących źródłach. Następnie oddajemy motor i jemy kolację w restauracji Borobudur.

2007-08-22 Bajawa->Labuanbajo

Wczoraj przez właścicielkę hotelu kupiliśmy bilety na autobus do Labuanbajo. Autobus przyjeżdża pod nasz hotel o 6:50. Mieliśmy rezerwację miejsc z numerami, ale i tak musimy kłócić się o dobre miejsce. Przez godzinę jeździmy jak taksówka odbierając inne osoby z całego miasta. Jedziemy cały dzień. Po drodze są tylko dwa postoje, w tym jeden o 10:30 na obiad :) Autobus dojeżdża tylko na dworzec na przedmieściach Labuanbajo. Bierzymy busika, który zawozi nas do centrum. Jedziemy do hotelu Chez Felix, gdzie wczoraj telefonicznie zrobiliśmy rezerwację. Tam dowiadujemy się, że nie mają dla nas pokoju oraz, że w całym Labuanbajo nie ma wolnych miejsc. Proponują nam gorszy pokój za większą cenę. Postanawiamy sprawdzić, czy z tym brakiem miejsc to prawda i okazuje się, że tak. Przy okazji wynajmujemy łódkę, która jutro rano zabierze nas na Rinca. Gdy chcemy wziąć ten gorszy pokój, okazuje się, że już nawet tego nie ma. Jesteśmy zmuszeni nocować w drogim hotelu New Bajo Beach.

2007-08-23 Labuanbajo->Rinca->Labuanbajo

Rano przeprowadzamy się do tańszego hotelu Bajo Beach. Wypożyczamy maski i płetwy do snorklingu. O 7:30 wypływamy małą łódką na Rinca, gdzie płyniemy około dwie godziny. Od razu po zejściu na ląd widzimy smoka z Komodo leżącego w cieniu, który robi na nas wielkie wrażenie. Następnie idziemy do wioski, w której płaci się wstęp i dostaje przewodnika. W wiosce widzimy cztery kolejne smoki, które leżą przy domkach. Jeden z nich jest ogromny i z wielką ostrożnością robimy sobie z nim zdjęcia. Potem idziemy w głąb wyspy szukać bardziej dzikich smoków. Widzimy jednego chorego w krzakach, jednego małego i jednego, który chowa się przed nami w wysokiej trawie. Po dwóch godzinach wracamy. W wiosce kręci się kilka smoków z Komodo, na które trzeba uważać. Smoki są bardziej ruchliwe rano i wieczorem. Koło południa jest gorąco i leżą w cieniu.

W drodze powrotnej zatrzymujemy się na snorkling. Rafa jest bardzo ładna i widzimy dużo ryb. W Labuanbajo kupujemy bilet do Mataram (zsynchronizowane ze sobą dwa autobusy i dwa promy), ponieważ wszystkie loty w przeciągu dwóch tygodni są już wykupione (a nie chcemy sprawdzać, czy zwalniają się miejsca w dzień wylotu). Zastanawialiśmy się także nad 3-4 dniowym rejsem na Lombok, który po drodze zatrzymuje się na Rinca i Komodo. Jednak mało interesujący plan rejsu oraz perspektywa nocowania na łódce nas zniechęciły.

2007-08-24 Labuanbajo->Sape->Bima

Prom miał wypłynąć o 8:00, ale wypływamy z 40 minutowym opóźnieniem. W klasie ekonomicznej tuż po wypłynięciu zaczyna się koncert, który jest za głośny dla nas i dlatego przenosimy się do pierwszej klasy. Tu też słysząc koncert, ale nie tak głośno. Tym razem statek nie buja zbyt mocno, co nas bardzo cieszy. Na statku można kupić jedynie picie, słodycze oraz makaron w kubku zalewany wrzątkiem („pop mie”, tutejszy specjał). My kupiliśmy sobie przed wejściem na statek zestawy obiadowe, czyli ryż z mięsem zawinięte w szary papier. Około 17:00 przypływamy do Sape na wyspie Sumbawa. Jedziemy busikiem do Bimy. Tam mamy trochę czasu, który przeznaczamy na jedzenie. Następnie wyjeżdżamy dużym autobusem o 19:30 do Mataram. Podróż jest całkiem przyjemna, z wyjątkiem momentu, kiedy autobus zatrzymuje się o 4:00 rano na postój na jedzenie.

2007-08-25 Bima->Mataram->Senaru

Rano przepływamy promem na Lombok. Około południa, po 28 godzinach od wyjazdu z Labuanbajo dojeżdżamy do Mataram. Stąd jedziemy lokalnym minibusem do Anyar, co zajmuje około dwie i pół godziny. Tam łapiemy kolejny minibus (bemo), którym jedziemy do Senaru. Następnie idziemy do Rinjani Trekking Center (RTC), w którym wykupuje się

treking na wulkan Rinjani. Decydujemy się na łatwiejszy, dwudniowy treking tylko do krateru i gorących źródeł. Pomimo tego, że wszyscy przewodnicy są zrzeszeni w RTC i nie mamy wyboru, udaje nam się niezłe stargować cenę. Na nocleg zostajemy w Gunung Baru Hotel, który jest całkiem niezły i tani. Pod wieczór idziemy zobaczyć wodospad, który znajduje się w pobliżu. Wodospad jest lepszy niż się spodziewaliśmy, całkiem wysoki, położony ciekawie w dżungli.

2007-08-26 Senaru->krater Mt Rinjani

Około 7:30 rozpoczynamy treking wspólnie z trójką turystów z Australii, przewodnikiem i trzema tragarzami, którzy niosą jedzenie, namioty oraz nasze rzeczy. Początkowo trasa jest łatwa, ale w miarę jak dochodzimy do kolejnych miejsc postoju (Pos I, Pos II, Pos III) jest coraz trudniej. Na Pos III tragarze przygotowują nam obiad, na który jest zupa warzywna, ryż i ananas na deser. Inne grupy turystów, z własnym przewodnikiem i tragarzami też się tu zatrzymują i jedzą to samo. Na pobliskim drzewie siedzą makaki, które jedzą resztki pozostawione przez ludzi. Najgorsze, najbardziej strome podejście zaczyna się od Pos III i prowadzi nad sam krater wulkanu. Widok z krateru jest tym, po co poszliśmy na ten treking. Panorama jest super, widzimy krater Rinjani, w środku jest jezioro, z którego wystaje kolejny wulkan – Gunung Baru.

Jest po 16:00 i przewodnik proponuje, że tragarze rozbiją tu obóz a my pójdziemy do gorących źródeł i tu wrócimy. Mieliśmy tam iść jutro rano, ale Australijczycy się zgadzają, więc idziemy z nimi. Początkowo droga wiedzie stromo w dół, po skałach z poręczami. Około godzinę zajmuje nam dojście do brzegu jeziora, skąd jest kolejny kwadrans do gorących źródeł. Odpoczywamy w gorących źródłach po całym dniu wspinaczki. Teraz musimy jeszcze podejść kilkaset metrów na szczyt krateru. Słońce zaczyna zachodzić a pod koniec wspinaczki jest już ciemno. Nie spieszymy się i około 19:30 jesteśmy w naszym obozowisku. Dostajemy kolację. Mamy namiot tylko dla siebie, w którym będziemy spać. Spotykamy Polaków, którzy byli na szczycie wulkanu Rinjani. Mówią, że trzeba mieć dobre buty, bo podejście jest tak trudne, że prawie trzeba chodzić na czworaka. Dodatkowo wchodzi się w nocy, żeby być na szczycie o wschodzie słońca. Większość ludzi nie wchodzi na sam szczyt, z którego widać panoramę na sąsiednie wyspy Gili, Bali, Sumbawa a nawet Flores.

Wieczorem robi się bardzo zimno. Ostrzeżeni przez innych turystów wzięliśmy ze sobą najcieplejsze ubrania i śpiwory. Śpimy w ubraniu, skarpetkach, czapce, rękawiczkach i w dwóch śpiworach na osobę, ale i tak jest zimno. Następnego dnia dowiadujemy się od Australijczyków, którzy nie mieli ciepłych rzeczy, że z powodu zimna nie mogli spać.

2007-08-27 krater Mt Rinjani->Senaru->Bengsal->Gili Meno

Wstajemy przed wschodem słońca i wciąż jest zimno. Dostajemy ciepłą herbatę, żeby się rozgrzać. Na śniadanie jemy naleśniki. Z naszego obozowiska podziwiamy widoki na wyspy Gili i Gunung Agung na Bali. Około 7:30 zaczynamy schodzić. Początek jest najtrudniejszy, bo najbardziej stromy. Później idzie bardzo sprawnie i o 12:20 jesteśmy w Senaru przy RTC. Przemek oddaje ciepłe ubrania (stare dżinsy, koszule i buty), które już mu nie będą potrzebne, przewodnikowi oraz tragarzom, którzy się bardzo cieszą z tego powodu. Następnie jemy obiad w naszym hotelu, w którym został też jeden plecak. Zabieramy się z Australijczykami, z którymi byliśmy na trekingu, do Bengsal.

Tam, zgodnie z tym co wyczytaliśmy, próbują nas oszukać na cenie biletów. Idziemy do głównego budynku (Koperasi), gdzie są normalne ceny i godziny wypłynięcia łódek. Są trzy rodzaje łódek: najtańsze, które wypływają jak się zapełnią (7000-8000 rupii), shuttle (21000-23000 rupii) o określonej godzinie i charter, gdzie płaci się za całą łódkę. Najwięcej łódek pływa na Gili Trawangan a najmniej na Gili Meno, gdzie chcemy płynąć. Na Gili Meno płyniemy łódką około 45 minut. Łódka jest bardzo prosta a fale są czasami tak duże, że boimy

się, że się łódka wywróci. Baliśmy się, że będziemy mieli kłopoty ze znalezieniem noclegu, ale sezon się kończy i w hotelach są wolne miejsca. Podobno dwa tygodnie wcześniej wszystko było zajęte. Nieprzyjemną wiadomością jest fakt, że ceny noclegów (jedynie na Gili Meno) podrożały o 50% w stosunku do przewodnika Lonely Planet z 2007 roku. Tym razem nie oszczędzamy i szukamy hotelu, który nam się najbardziej podoba. Pod uwagę bierzemy hotel Biru Meno, który leży w spokojnym miejscu, ma niezły widok na morze i ma dobre łazienki. Dobrym wyborem jest też sąsiedni hotel Kontiki, który ma ładną plażę i słodką wodę w łazience (a nie słoną jak w prawie wszystkich hotelach). Decydujemy się jednak na Biru Meno, ponieważ dostajemy domek przy samej plaży, z wygodną kanapą na tarasie.

2007-08-28 Gili Meno

Na Gili Meno, wzdłuż plaży stoją małe, odkryte domki, z małymi stołami, gdzie siedzi się na poduszkach i konsumuje posiłki patrząc na morze i słuchając odgłosów fal. Nigdzie czegoś takiego nie widzieliśmy i bardzo nam się podoba.

Idziemy na plażę, koło hotelu Kontiki. Cały czas pogoda jest wyśmienita. Jak nam się robi gorąco idziemy się ochłodzić w morzu. Po plaży chodzą ludzie sprzedający odzież i biżuterię oraz kobiety z koszami owoców na głowie. Po targowaniu kupujemy ananasa i mango. W porze obiadowej przychodzą chmury i idziemy na obiad, który jemy w małym domku na plaży. Później Magda bierze godzinny masaż na plaży. Następnie robimy sobie spacer na drugą stronę wyspy, do hotelu Good Heart. Po drodze mijamy opuszczone, hotele, niektóre luksusowe. Po wybuchach bomb w Kucie na Bali w 2002 i 2005 roku ilość turystów w Indonezji znacznie zmalała, dlatego zamknięto te hotele. Słyszeliśmy, że dopiero w tym roku turyści zaczęli wracać do Indonezji. Dochodzimy do Good Heart, który słynie z tego, że można tam oglądać piękne zachody słońca.

2007-08-29 Gili Meno

Tak jak wczoraj, cały dzień odpoczywamy na plaży. Wszyscy miejscowi handlarze już nas znają, wiedzą skąd jesteśmy, w którym hotelu mieszkamy a nawet ile płaciliśmy wczoraj za ananasa i mango. Po tej małej wyspie informacje rozchodzą się jak błyskawica.

Chcemy jutro popłynąć na rejs dookoła trzech wysp Gili, z postojami na snorkling w różnych ciekawych miejscach. Nie chcemy płacić pośrednikom, więc znajdujemy w porcie łódkę, która właśnie wraca z rejsu. Umawiamy się co do ceny, godziny wypłynięcia i wpłacamy zaliczkę. Na obiadokolację jemy czerwoną rybę (red snapper) z grilla, która jest bardzo smaczna. Następnie idziemy na drugą stronę wyspy i oglądamy piękny zachód słońca w Ninos Cafe.

2007-08-30 Gili Meno->Gili Trawagan->Gili Air

O 9:00 wypływamy na rejs. Zaczynamy do Gili Trawangan, gdzie nurkujemy oglądając rafę koralową i rybki. Następnie płyniemy w okolice Gili Meno, gdzie oglądamy Meno Wall, czyli bardzo stromy (pionowy) koniec rafy koralowej. Rafa na Gili Meno jest bardzo zniszczona. Następnie nie wracając do łódki płyniemy do Turtle Point, gdzie widzimy ogromne żółwie siedzące na dnie. Nasz przewodnik nurkuje bardzo głęboko bez maski, żeby nam pokazać żółwie. Następnie wracamy do łódki i płyniemy na Gili Air, gdzie jemy obiad. Obiad nie jest w cenie, więc zabierają nas do bardzo drogiej restauracji. Idziemy do restauracji obok, gdzie jest dwa razy taniej. Po obiedzie nurkujemy w wodzie, blisko restauracji, w której jedliśmy obiad. Rafa i ryby są tu najlepsze, jednak jest tak silny prąd, że ciężko się utrzymać w miejscu.

Mamy ze sobą nasze plecaki, bo zaplanowaliśmy przeprowadzić się na Gili Air. Wsiadamy w porcie i Magda idzie szukać hotelu. Okazuje się, że noclegi na Gili Air są około dwa, trzy razy tańsze niż na Gili Meno. Większość hoteli w przeciwieństwie do Gili

Meno jest tu pustych. Tylko połowa, albo nawet mniej hoteli stoi tu przy plaży. My wybieramy całkiem niezły hotel Lucky. Mamy z tarasu widok na morze i zachód słońca, jednak plaża jest tu kiepska.

2007-08-31 Gili Air

Na Gili Air jest więcej hoteli i restauracji niż na Gili Meno, jednak jeżeli chodzi o plażę to na Gili Air jest tylko jedna fajna plaża. Nic dziwnego, że można tu spotkać większość turystów mieszkających na tej wyspie. Na plaży stoją leżaki, z których można korzystać, pod warunkiem zamówienia jakiegoś drinka lub picia. Po plaży chodzi też mniej handlarzy niż na Gili Meno. Mamy też wrażenie, że jest tu cieplej niż na Gili Meno. Może jest tu mniej wiatrów. Oglądamy także kilkadziesiąt osób wsiadających i wysiadających z łódek, którzy robią tutaj kursy nurkowania PADI (z butlą tlenową).

Zostawiamy nasze ręczniki na plaży i idziemy na obiad. Około 16:00, jak codziennie na Gili, przychodzą chmury znad wulkanu Rinjani. Schodzimy z plaży razem z innymi turystami. Jedzenie, jak w całej Indonezji, jest bardzo dobre i można zamówić potrawy z całego świata. Jednak czasami można się zdziwić. Na deser po kolacji Magda zamawia Banana Split. Wszystko byłoby w porządku, tylko banany przynieśli gorące i lody rozpuściły się po minucie :)

2007-09-01 Gili Air

Dzisiaj jest nasz ostatni dzień pobytu na wyspach Gili, który minął nam bardzo szybko. Cały dzień spędziliśmy na plaży z przerwami na snorkling, jedzenie i soki owocowe. Soki owocowe w Indonezji są bardzo dobre i niedrogie. Magdzie szczególnie smakuje sok z awokado. Czasami słyszymy, że nie ma soku z awokado, bo teraz nie jest sezon na awokado. Piliśmy tu i jedliśmy sporo awokado, więc ciekawe ile jest awokado w sezonie. Świeże, dojrzałe mango także smakuje tu (a szczególnie na plaży) dużo lepiej niż kupione w Polsce.

Wracając do snorklingu. Od czasu, kiedy przyплыliśmy tu z łódką, wiemy gdzie jest najlepsza rafa na Gili Air. Dwa razy dziennie chodzimy na początek rafy i płynąc razem z prądem podziwiamy rafę i rybki. Prąd znosi nas na skraj wyspy, gdzie jest najlepsza plaża i są nasze ręczniki.

Dzisiaj postanowiliśmy spróbować lokalnych potraw na kolację. Zamawiamy gado-gado, czyli ryż z warzywami w gęstym sosie z orzeszków ziemnych na ostro. Próbujemy także oleh-oleh, czyli ryż z warzywami w sosie z mleka kokosowego. Jedzenie jest całkiem dobre i bardzo tanie.

2007-09-02 Gili Air->Bengsal->Lembar->Ubud

Po śniadaniu, przed 8:00 idziemy z plecakami do portu. Widzimy jak najtańsza łódka właśnie odpływa (8:05) z kompletem pasażerów. W porcie spotykamy kilkunastu innych turystów, którzy czekają na lepszą łódkę (shuttle) o 8:30. Lepsza jest tylko cena, bo łódka jest taka sama i także odpływa pełna, bo dosiadają się miejscowi, którzy nie zmieścili się w poprzedniej łódce.

W porcie w Bengsal okazuje się, że większość turystów ma kupione bilety na przejazd z Gili do Denpasar lub Ubud. Miejscowi proponują nam przejazd busikiem bezpośrednio do Lembar. Cena nam nie odpowiada, ale po targach zgadzamy się, bo wiemy, że komunikacją publiczną będziemy jechali znacznie dłużej i będziemy musieli przesiadać się w Mataram a podobno w południe odpływa prom na Bali. Przed południem dojeżdżamy do Lembar, jednak na prom czekamy wraz z innymi turystami aż do 14:15. Na Bali (Pedangbai) płyniemy około pięć godzin. Na szczęście podróż mija nam spokojnie, bo nie buja za dużo. W Pedangbai szukamy transportu do Ubud. Prawie wszystkie minibusy jadą do Denpasar. Znajdujemy tylko jeden jadący do Ubud i musimy się zgodzić na zbyt wysoką cenę, bo nie mamy wyjścia.

Cała podróż i tak wychodzi nas prawie dwa razy taniej niż kupienie całego przejazdu z Gili do Ubud. Około 21:00 jesteśmy w Ubud. Wysadzają nas przy ulicy z tanimi hotelami. Hotele są puste, więc możemy wybierać. Później idziemy na kolację. Restauracji w Ubud jest bardzo dużo. Tym razem wybieramy Deli Cat, polecaną w Lonely Planet. Jedzenie jest drogie, ale bardzo dobre (szczególnie zupa grzybowa).

2007-09-03 Ubud->Sayan->Goa Gajah->Ubud

Po śniadaniu wypożyczamy motor (na ulicy). Tym razem podpisujemy jakieś papiery, ale właściciel nawet nie sprawdza, czy podajemy prawdziwe dane. Jesteśmy w Ubud, czyli stolicy kulturalnej Bali. Zwiedzanie zaczynamy od Pałacu Królewskiego, następnie idziemy do Pura Marajan Agung, Pura Desa Ubud (zamknięta, ale trochę widać zza bramy). Najładniejsza jest zdecydowanie Pura Taman Saraswati, przy której znajduje się jezioro porośnięte kwiatami lotosu. Następnie jedziemy do Sacred Monkey Forest. Jest to park z porośniętymi mchem mostem, świątynią, posągami smoków z Komodo i z ciekawymi drzewami. Po całym parku biegają dziesiątki makaków (małp). Można się tu poczuć jak w filmie Indiana Jones.

Po obiedzie jedziemy zwiedzać okolice Ubudu. Pierwsze są pola ryżowe (płaskie) w Katik Lantang i tarasy ryżowe w Sayan. Następnie udajemy się do świątyni Goa Gayah w jaskini, która najładniejsze ma wejście. W pobliżu jest także Yeh Pulu, z płaskorzeźbami w skale (słabo zachowane). W drodze powrotnej wступujemy jeszcze do Pura Kebo Edan i Pura Pusering Jagat, które nie są za bardzo ciekawe. Wracamy do Ubud, ponieważ o 19:30 idziemy na pokaz balijskich tańców (Legong Dance). Oddajemy motor i o 19:00 jesteśmy już w Pałacu Królewskim, żeby sobie zająć dobre miejsca. Spóźnialscy nie mieszczą się na widowni i stoją lub siedzą z boku, obok orkiestry. Najpierw słuchamy orkiestr gamelan (lokalne instrumenty), później oglądamy taniec wojownika, taniec zakochanych, taniec starego człowieka i inne. Tańce są bardzo specyficzne, nie podobne do niczego co wcześniej widzieliśmy. Główną uwagę przykuwają ruchy rąk i oczu. Kostiumy są bardzo ładne, kolorowe, w azjatyckim stylu. Całe przedstawienie trwa około półtorej godziny.

2007-09-04 Ubud->Tegallalang->Pura Tirta Empul->Gunung Kawi->Pura Kehen->Pura Besakih->Pura Ulun Danu Batur->Lovina

Rano wypożyczymy samochód Suzuki Jimny (Katana), którym będziemy zwiedzać wyspę Bali. „Ubezpieczenie” polega na tym, że w razie wypadku pokrywamy straty tylko do równowartości 500 USD. Naszą podróż rozpoczynamy od Tegallalang, gdzie oglądamy bardzo ładne tarasy ryżowe leżące przy głównej drodze. Następnie jedziemy do Pura Tirta Empul, gdzie są święte źródła. Ludzie modlą się przy źródłach, zanurzają się, nabierają wodę do naczyń. Później jedziemy do Gunung Kawi, czyli wyrzeźbionych w skale świątyń poświęconych rodowi królewskiemu z XI wieku. Klimatem podobne do Lalibeli w Etiopii, jednak nie tak dobrze zachowane. Kolejną atrakcją, którą oglądamy jest Pura Kehen, z ładną bramą do której prowadzi kilkadziesiąt schodów. Następnie udajemy się do Pura Besakih, czyli najważniejszej świątyni na Bali. Świątynia położona jest w górach, na zboczu świętego wulkanu Gunung Agung. Świątynia składa się z 23 mniejszych świątyń. Turyści nie mogą wejść do środka świątyń, ale można chodzić dookoła świątyń, skąd wszystko widać. Świątynia robi naprawdę duże wrażenie. Później jedziemy do Pura Ulun Danu Batur, gdzie panie przy wejściu chciały na nas wymusić wypożyczenie sarongu (zwykle darmowy) za cenę przekraczającą wartość nowego sarongu. Specjalnie ubraliśmy się w długą spódnicę i długie spodnie, żeby nie mieć kłopotów. Następnie jedziemy wzdłuż jeziora Batur, podziwiając okoliczne krajobrazy. Jesteśmy w górach i po drodze nie ma stacji benzynowych, więc musimy zatankować kilka litrów na mini-stacji (butelki z benzyną stojące przy drodze). Po

zachodzie słońca dojeżdżamy do Lovina. Znajdujemy hotel i załatwiamy rejs z oglądaniem dzikich delfinów na jutro.

2007-09-05 Lovina->Gitgit->Pura Ulun Danu Bratan->Pura Taman Ayun (Mengwi)->Tanah Lot->Ubud

Przed wschodem słońca, o 6:00 rano, wypływamy w morze. Po 40 minutach docieramy w miejsce, gdzie pływa około 20 łódek (w sezonie jest podobno 50). Wszyscy wypatrują delfinów. Po chwili koło nas przepływa grupa delfinów. Rytmicznie zanurzają się i wynurzają do połowy z wody. Wszystkie łódki podążają na nimi. Po pewnym czasie delfiny przestają się wynurzać i ludzie szukają innej grupy. Łódka obok nas płynie za delfinami. My płyniemy równo z nią i obserwujemy jak jeden z delfinów wyskakuje z wody i robi salto w powietrzu. Oglądanie dzikich delfinów to jedna z lepszych atrakcji w Indonezji. Około 8:00 jesteśmy w porcie. Po śniadaniu jedziemy do Melka Hotel, w którym są pokazy delfinów oraz można pływać z delfinami (marzenie Magdy). Okazuje się, że mają tu cztery delfiny trzymane w dwóch basenach. O 9:00 rozpoczyna się pokaz (są także pokazy o 14:00 i 17:00). Ludzi jest bardzo mało, bo około 10 osób. Oglądamy salta, skoki przez obręcz, pływanie na tylnej płetwie. Część osób zostaje na 20 minutowe pływanie z delfinami. My czekamy na drugą parę delfinów, która nie brała udziału w pokazie a obecnie pływa z chorym na Alzheimera Indonezyjczykiem w ramach terapii. Magda pierwsza wchodzi do delfinów. Delfiny nazywają się Joe i Jack. Jest zdziwiona, że delfiny nie uciekają a wręcz chcą, żeby je dotykać. Przepływają nad i pod Magdą. Są bardzo silne i czasami trzeba od nich uciekać. W zasadzie to one płyną z człowiekiem a nie człowiek z nimi. Delfiny dwa razy dają się złapać za płetwę i płynąć z nimi. Podobno większości ludzi na to nie pozwalają, ale Magdę polubiły. Po Magdzie pływa Przemek, któremu też bardzo się podoba. Po wszystkim oglądamy jeszcze samicę z drugiego basenu, która robi przed nami prywatny pokaz skoków i salt. Magda uważa pływanie z delfinami za jedno z najlepszych przeżyć w życiu.

Przed południem wyjeżdżamy z Lovina i jedziemy nad wodospad Gitgit. Kolejnym punktem podróży jest świątynia na wodzie Pura Ulun Danu Bratan (bardzo ładna). Dalej jedziemy do świątyni rodziny królewskiej Pura Taman Ayun w Mengwi. Świątynia ta słynie z pagód ustawionych w rzędzie, od najmniejszej do największej. Zwiedzanie kończymy na słynnej świątyni na skale nad brzegiem morza – Tanah Lot. Większość ludzi, tak jak my, przyjeżdża tu na zachód słońca. Świątynia ta leży blisko Denpasaru i Kuty, stąd jest tu ogrom turystów, którego nie widzieliśmy nigdzie indziej na Bali. Jeszcze tego samego dnia musimy dojechać do Ubud i oddać samochód, co zajmuje nam około dwie godziny. Jeżdżenie po Bali jest niebezpieczne, ponieważ jest duży ruch, dużo motorów i innych wolnych pojazdów na drodze. Jednak w nocy trzeba uważać podwójnie. Na szczęście dojeżdżamy cali i zdrowi.

Mieliśmy nadzieję zdążyć jeszcze na 20:00 na Kecak Dance, ale okazuje się, że jedne tańce zostały odwołane a w drugim miejscu zaczęły się o 19:00. Oglądamy tylko końcówkę Kecak Dance, w którym nie ma orkiestry, a oprawą muzyczną są dźwięki wydawane przez chór mężczyzn i kobiet. Taniec ten jest rodzajem teatru, który kończy się wielkim ogniskiem z skorup kokosów. Główny bohater rozbija ognisko i chodzi po gorących węglach.

2007-09-06 Ubud->Kuta

O 9:00 wyjeżdżamy busikiem (shuttle) do Kuty, na którego bilety kupiliśmy wczoraj wieczorem. Dwa tygodnie temu już tu byliśmy i zrobiliśmy sobie rezerwację w hotelu Berlian Inn, z której teraz skorzystamy. Cały dzień spędzamy na plaży. Wciąż jest tu gorąco i są duże fale, na które czekają surferzy. Obiad i kolację jemy w Tree House Cafe na ulicy Poppies Line I. Jedzenie jest bardzo dobre i tanie, polecamy. Nasza podróż poślubna powoli się kończy. Na zachód słońca oboje (jednocześnie, z dwoma masażystkami) bierzemy masaż na plaży. Wieczorem robimy zakupy, prezenty dla bliskich w Polsce.

MALEZJA + SINGAPUR

2007-09-07 Kuta->Kuala Lumpur

Po śniadaniu idziemy na dwie godziny na plażę. Wyprowadzamy się z hotelu i idziemy złapać bemo na lotnisko. Po drodze zwiedzamy chińską świątynię, którą zauważyliśmy dwa tygodnie temu. Tym razem lecimy Air Asia, największą tanią linią lotniczą w Azji. Obsługa jest w porządku, samolot jest nowy. Dziwi nas trochę open-sitting, czyli brak przydziału miejsc. Dlatego, gdy wzywają na boarding wszyscy rzucają się, żeby zająć dobre miejsca.

Łądujemy w Kuala Lumpur, na terminalu dla tanich linii lotniczych (LCCT). Na lotnisku kupujemy bilet na shuttle do Chinatown. Autobus jedzie szybko, ale na przedmieściach są korki. W Kuala Lumpur autobus rozwozi też turystów po różnych hotelach, dlatego w Chinatown jesteśmy dopiero po dwóch godzinach od wyjazdu. Znajdujemy nocleg i jedziemy metrem pod Petronas Twin Towers. Chcieliśmy poprawić zdjęcia po zachodzie słońca, ale jesteśmy już za późno. Poza tym zaczyna padać deszcz, tak jak trzy lata temu. Wracamy i idziemy na kolację u Chińczyka w Chinatown. Spacerujemy także Petaling St, które wieczorem staje się wielkim targiem, na którym można kupić wszystko, a szczególnie podróbki ubrań i zegarków znanych firm.

2007-09-08 Kuala Lumpur->Melaka->Singapore

Po śniadaniu idziemy z plecakami na Puduraya Bus Station. Kupujemy przejazd autobusem KKKL do Melaki. Autobus jest bardzo wygodny, wręcz luksusowy. W Melace zostawiamy bagaże w przechowalni na dworcu, kupujemy bilety do Singapuru i jedziemy do centrum autobusem nr 17. Melaka to spokojne miasto z kolonialną zabudową. Zwiedzamy kościół św. Franciszka Xawerego, Christ Church, Stadthuys (muzeum). Okazuje się, że w Melace są obecnie dni Holandii i można zobaczyć tu wystawę kwiatów, wiatrak i popróbować holenderskich serów. Następnie oglądamy kościół św. Pawła A'Famosa, Pałac Sułtana z ekspozycją lokalnych strojów, Maritime Museum. Następnie wracamy na dworzec autobusowy, skąd odjeżdżamy do Singapuru.

Większość pasażerów wysiada w Johor Baru i razem z kilkoma innymi pasażerami jesteśmy poproszeni na granicy, aby przesiąść się do innego autobusu (na ten sam bilet). W Singapurze jesteśmy około 21:00. Wysiadamy na ulicy Lavender. Jedziemy metrem do Little India, gdzie są najtańsze noclegi. Nocujemy w hostelu Fragrance. Hostel jest bardzo duży, nowoczesny. Śpimy w sześciuosobowym dormie, ale jesteśmy sami w pokoju.

2007-09-09 Singapore->London->Wrocław

Wstajemy o 5:00 rano. Jedziemy metrem na lotnisko. Dojeżdżamy tam przed 7:00. Nadajemy nasz bagaż, jemy śniadanie, korzystamy z darmowego Internetu. O 9:00, bez opóźnienia, wylatujemy do Londynu. Łądujemy na Heathrow, gdzie kupujemy przejazd do Gatwick autobusem firmy National Express. Przejazd trwa godzinę i 15 minut. O 21:30 mamy samolot Centralwings do Wrocławia. Okazuje się, że samolot ma kilkugodzinne opóźnienie i większość Polaków rozkłada się na ziemi do spania. Wylatujemy dopiero po 2:00 rano i dolatujemy do Wrocławia o 5:00. Jedziemy taksówką do domu, bo przecież trzeba się wyspać, bo o 8:00 idziemy do pracy :)